MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 42. WARSZAWA, 1 PAŹDZIERNIKA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

KU ŹRÓDŁOM...

REWOLUCJA, dokonana w życiu narodów europejskich w ciągu wieku XIX, dała wyniki całkiem niespodziewane dla tych, co ją wywołali lub byli jej kontynuatorami. Wyobrażali oni sobie, że zwalili stary, zmurszały porządek, sięgający swemi początkami do średniowiecza i pchnęli ludzkość na drogę nieskończonego, automatycznego postępu. Dawne, kierownicze w życiu narodów warstwy (dziś nazywa się to modnie, a brzydko, elitą) zostały zepchnięte na plan drugi lub zgoła zniszczone; nowej „elity“ dostarczyło mieszczaństwo, ono też było twórcą nowoczesnych form życia gospodarczego, społecznego i politycznego, ono — wraz z żydami i masonami — wycisnęło swe piętno na wieku XIX-ym. Demokracja, parlamentaryzm, liberalizm gospodarczy — wszystko to wydawało się stałym dorobkiem ludów kontynentu europejskiego.

Nagle, a dla większości niespodziewanie, po wielkiej wojnie europejskiej (1914 — 1918) zaczęła się radykalna reakcja przeciw ideologji, ustrojowi politycznemu i systemowi gospodarczemu wieku XIX-go. Reakcja ta oparła się na prądach, idących z głębin społecznych, przywódcy jej we wszystkich krajach odwołali się do szerokich sfer ludowych, walczyli z demokratycznym ustrojem, lecz wyrośli z najgłębszego łożyska ruchu demokratycznego.

Sfery kierownicze wieku XIX zostały z kolei usunięte z powierzchni lub (jak w Rosji) fizycznie zniszczone. Ich miejsce zastępują sfery nowe, te, które były sprawcami Rewolucji narodowej wieku XX-go. Rewolucja ta nie jest powrotem do przeszłości, do czasów, poprzedzających Wielką Rewolucję Francuską i ruchy analogiczne, jest ona cofnięciem się o wiele dalej wstecz—ku samym źródłom życia ludów kontynentu europejskiego.

Najlepiej widać to w Niemczech. Ruch narodowo-socjalistyczny ukazuje oblicze narodu niemieckiego tak różne od tego, do jakiegośmy się przyzwyczaili, że trudno na to nie zwrócić uwagi. Ludzie, którzy nie rozumieją istoty kryzysu czasów nowoczesnych, oburzają się lub dziwią. Wydaje im się, że mają do czynienia ze złośliwością lub szaleństwem. Tymczasem jest to powrót do germanizmu pierwotnego. Gdy utraciło władzę mieszczaństwo, które wyniósł na powierzchnię wiek XIX, gdy zawiódł ruch robotniczy, gdy się okazało, że dawne, przedrewolucyjne (mówimy o rewolucji wieku XIX), warstwy nie wykazują już zdolności do przywództwa, na powierzchnię wysuwają się ludzie, związani myślą i instynktami z prawiecznemi pierwiastkami duchowemi ludu niemieckiego. Na bardzo ciekawy fakt zwrócił uwagę w jednej ze swych korespondencyj współpracownik „Gazety Warszawskiej“, p. Jerzy Drobnik, pisząc o pojęciach prawnych niemieckich czasu obecnego. Stwierdził on, że Niemcy wracają do pojęć prawnych starogermańskich, odrzucając prawo rzymskie. Jest to jednym z przejawów cofania się myśli narodowej ku źródłom...

Nie ściśle, lecz obrazowo można powiedzieć, iż Europa wchodzi w okres nowego najazdu barbarzyńców — barbarzyńców wewnętrznych. Z tego faktu trzeba wyprowadzić wszystkie konsekwencje, jeśli się chce zrozumieć to, co się dzieje w świecie i nie zajmować wobec wydarzeń stanowiska zrzędzącej, starej ciotki, może nawet bardzo inteligentnej, lecz żyjącej pojęciami minionego wieku.

Polska leży wprawdzie na krańcu, lecz jednak na krańcu Europy. Jej życie duchowe, społeczne i polityczne przebiegają, mimo wszystko, prądy ogólno-europejskie, jej rozwój podlega tym samym prawom. I u nas tedy widzimy cofanie się ku źródłom. Z jednej strony występują na powierzchnię instynkty pierwotne tego rdzenia narodu polskiego — ludu z nad Wisły i Warty, ludu, zdolnego i przedsiębiorczego, lecz miękkiego i rozlewnego, jak pełen tęsknoty krajobraz polski, nie mający granic i linji, ludu zdolnego do bohaterstw w gromadzie i rozstrzygającego swe sprawy na wiecach, lecz nie wydającego silnych jednostek, obdarzonych odwagą cywilną i poczuciem odpowiedzialności. Z drugiej strony resztki tych czynników, które kształtowały życie polskie, cywilizację

i kulturę polską, a szły one zarówno z Zachodu, jak ze Wschodu, z Rzymu i przez Litwę, z Moskwy i od Tatarów.

Wracając ku źródłom otwieramy wrota anarchji, wynikającej z różnolitości elementów etnicznych obszaru polskiego, na którym nie zapanował w czasach przedrozbiorowych definitywnie typ polski, oraz z różnego pochodzenia tej dawnej „elity", warstwy szlacheckiej Polski, w którą obok elementu czysto polskiego wsiąkły żywioły litewskie i ruskie. Stąd zmaganie się ludzi, wyrosłych na tradycjach rzymskich, z ludźmi, związanymi krwią czy tradycją ze wschodem...

Pokolenie obecne i pokolenie następne mają za zadanie nietylko utrzymać i ugruntować państwo polskie, lecz także — a może przedewszystkiem — podjąć na nowo trud wytworzenia definitywnego typu polskiego — z podłoża ludowego, przez organizację i dyscyplinę, narzuconą przez ludzi, żyjących tradycją dawnej „elity", która stworzyła państwo polskie.

Trudności czasów nowych wynikają z dwu źródeł: z różnolitości i właściwości rasowych materjału, oraz z rozdarcia (Wschód - Zachód) wśród warstwy, dającej przywódców i inicjatorów czasów nowych. Te trudności zmuszają do wzmocnienia pierwiastka władzy i dyscypliny w tworzącej się, nowej oligarchji, która wyciśnie piętno na nowem państwie polskiem i wskaże drogi rozwoju narodu polskiego. Masa ciąży swą siłą bezwładną na przyszłości, narzuca swe pierwotne instynkty i cały obszar swego życia podświadomego, związanego z przyrodą krainy nadwiślańskiej i z tradycją pokoleń; lecz momenty zasadnicze, rozstrzygające leżą na płaszczyźnie, zajmowanej przez sfery, wydające kierowników. Na tej płaszczyźnie musi się rozstrzygnąć starcie Wschodu z Zachodem; tam zapadnie decyzja, czy nowa Polska będzie córką Rzymu (zarówno Kapitolu, jak Watykanu), czy też będzie szukała wzorów danych zarówno przez tradycje Tatarów i Moskwy, jak tradycje azjatyckie ludu żydowskiego, oraz spadkobierców tych tradycyj wschodnich i żydowskich — wolnomularzy współczesnych.

Jesteśmy uczestnikami walk i zmagań się o podstawy życia zbiorowego i indywidualnego. Nasze sprawy sięgają o wiele dalej, niż to się wydaje przeciętnemu obywatelowi naszego kraju. Chodzi przedewszystkiem o sprawy duchowe i z ducha płynące. Rozstrzygnie się też ten spór w regjonach ducha. Kto chce porządku w Polsce, ten musi przedewszystkiem dążyć do zrobienia porządku w dziedzinie myśli i uczuć, w sferze ducha i idei.

STANISŁAW KOZICKI

U PRA-ŹRÓDEŁ MASONERJI

WĘDRÓWKA poprzez mgławicę, jaką stanowią bajeczne, jak je można nazwać, dzieje masonerji, poprzedzające znany i dostatecznie oświetlony historyczny fakt, jakim jest założenie w 1717 r. Wielkiej Loży w Londynie, przedstawia się tem bardziej interesująco, że co do powstania masonerji istnieją pośród samych masonów nader liczne teorje. *„Royal Masonic Cyclopedia"* przytacza ich ni mniej ni więcej jak dwanaście. Według danych jej masoni wywodzą swe pochodzenie: 1) od patrjarchów, 2) od misterjów pogańskich, 3) od budowy świątyni Salomona, 4) od rzymskich kolegjów architektury, 5) od Wojen Krzyżowych, 6) od Templarjuszów, 7) od średniowiecznych gildyj mularskich, 8) od Różokrzyżowców, 9) od Olivera Cromwella, 10) od księcia Karola Stuarta, 11) od architekta Krzysztofa Wren'a i budowy św. Pawła w Londynie; ostatnia, 12-a teorja, twierdzi, że masonerja nie istniała wcale przed 1717 rokiem, t. j. przed założeniem londyńskiej Wielkiej Loży.

Legenda masońska, stanowiąca część oficjalnej masońskiej instrukcji dla wtajemniczonych I-go stopnia, mówi o pochodzeniu masonerji od Adama, Enocha, Abrahama, Mojżesza, Dawida i Salomona. Oczywiście nikt nie będzie masonom kwestjonował ich pochodzenia od Adama (i Ewy). Powoływanie się zaś na jakąś, po dawnych wiekach odziedziczoną mądrość jest zwykłym, często używanym manewrem tajnych związków, które pragną zwiększyć w ten sposób swój autorytet. Weisshaupt np., zakładając w 1782 r. bawarskich Illuminatów, oświadczył, że członkowie „będą gotowi umrzeć za prawdę, że rzecz jest tak starożytna, jak Matuzalem".

Tradycyj masońskich, nawiązujących do czasów bardzo odległych, nie należy jednak traktować za wybieg tylko, nadający masonerji powagę i pewien tajemny urok.

P. Nesta Webster, autorka cennych prac historycznych, wydawanych w języku angielskim, zajmując się w swem dziele *„Secret Societies and Subversiv Movments"* tajnemi związkami i antychrześcijańskiemi sektami, istniejącemi od pierwszych wieków chrześcijaństwa, znajduje sposobność do potrącenia o wszystkie niemal z wyliczonych wyżej teoryj, podkreślając w omawianych przez siebie związkach coraz to jakiś szczegół, niekiedy jakąś cechę zasadniczą, która każe nam odrazu zwracać się myślą do masonerji. Wiele z zaznaczonych wyżej teoryj o pochodzeniu masonerji pomaga nam książka p. Webster rozumieć.

Autorka, zgodnie z nauką masońską, nawiązuje tradycje masonerji do czasów bardzo odległych, do starych cywilizacyj Wschodu, gdzie istnieli od najdawniejszych czasów „wtajemniczeni" albo „mędrcy", przechowujący tajemną wiedzę, której nie chcieli udzielać wszystkim. Tak np. w Egipcie, na wiele lat przed Mojżeszem, wyznawali kapłani w tajemnicy wiarę w Jedynego Boga. Ze Wschodu tajne związki przedostały się do Europy. W VI wieku przed Chrystusem, Pytagoras, wtajemniczony w czasie swego pobytu w Egipcie w Misterja Izydy, założył na półwyspie Apenińskim sektę, złożoną z dwu stopni wtajemniczonych. Tajemna wiedza, udzielana za wzorem Egiptu w znakach, obrazach i symbolach, rozpoczynała od nauk geometrycznych, kończyła się na nauce o wędrówce dusz i o Bogu, jako o Duchu, rozlanym we wszechświecie.

Gdy jednak zapytamy, jaki jest konkretny spadek duchowy, pochodzący z dawniejszych wieków, a będący w posiadaniu masonerji, zetkniemy się przedewszystkiem z tą księgą, której nie można nigdy pominąć, zapoznając się z masonerją—mianowicie z Kabałą żydowską. Kabale, leżącej u podstawy wielu tajnych związków, poświęca autorka angielska w swej pracy wiele miejsca. Idąc za ba-

daczami żydowskimi, jak Drach[1]) i inni, uważa za pewnik, że tajna, tradycyjna wiedza (wyraz „Kabała“ oznacza: otrzymana, zachowana, zatem — tradycję), nieznana tłumowi i skrywana przed nim starannie, jakiś zbiór doktryn i spekulacyj, istniała pośród żydów już za czasów Chrystusa, nosząc wtedy już nazwę Kabały. Podziela również pogląd, jakoby, poza innemi przyczynami, to właśnie, że Chrystus dawał swoją naukę wszystkim, a nie wtajemniczonym tylko, powodowało nienawiść do niego mędrców żydowskich i na poparcie tego zdania przytacza za Drachem ustęp z Ewangelji św. Mateusza, rozpoczynający się od słów: „Biada wam, Doktorowie i Faryzeusze, że zamykacie Królestwo niebieskie przed ludźmi“. Należy tu jednak stwierdzić, że wczytując się w powyższy ustęp (miałam przed sobą dwa tłumaczenia polskie i jedno angielskie, przytaczane właśnie przez p. Webster), przy najszczerszych chęciach nie mogłam dopatrzeć się w nich poparcia tezy, głoszonej przez Dracha i zasuggestjonowaną przez niego autorkę.

Faktem jest tylko zatem, że jakąś ustną tradycję spisał w XIII wieku po Chrystusie żyd hiszpański, Mozes de Leon, zachowując jej nazwę Kabały. Kabała jest dziś dostępna badaczom bez trudu, została bowiem przetłumaczona na francuski przez Jean de Pauly. Stanowią ją dwie główne księgi, „*Sephir Jedzirah*“ i „*Zohar*“. Pierwszą stanowi monolog Abrahama, który doszedł do koncepcji Jedynego Boga, druga zawiera kabalistyczną filozofję i przepisy magji. P. Webster, zapoznając czytelnika z treścią Kabały, nie wypowiada zdań o jej wartości, w przedstawieniu jej jednak Kabała rysuje się, jako księga o zagmatwanych, niejasnych, pełnych dygresyj wywodach, dotykająca w swej treści wielkich prawd ludzkości lub nurtujących ludzkość w ciągu wieków przeczuć, z których jedne stały się składowemi czynnikami religij, inne przeobraziły się pracą wieków w składniki wiedzy, które jednak albo noszą na sobie ślady skrzywień i zepsucia, albo zaśmiecone są nieuctwem, z pośród którego krytyka naukowa z trudem wyłowić może ziarna prawdziwej wiedzy.

Tak np. Kabała głosi wiarę w Jedynego Boga, pojmuje jednak Boga w sposób antropomorficzny (co, jak wiemy choćby z pięknej książki prof. Zielińskiego, „Hellenizm i Judaizm“, jest cechą specyficznie żydowską). Bóg, który nosi w Kabale nazwę Długiej Twarzy albo Najstarszego ze Starych, do tego stopnia przedstawiony jest na sposób ludzki, że Kabała poświęca długie stronice opisowi jego włosów, brody, twarzy, „której długość wynosi trzysta siedmdziesiąt razy dziesięć tysięcy światów”, z której „400.000 światów otrzymuje światło” i t. p.

Gdy Kabała mówi o wierze w przyjście Zbawiciela, przedstawia Mesjasza, zgodnie z materjalizmem żydów i ich zamiłowaniem do zewnętrznej świetności, jako króla zupełnie „z tego świata”, jako zdobywcę, wodza i prawodawcę. Wiara w przyjście Mesjasza u innych ludów Wschodu, np. Persów, jest bardziej zbliżona do pojęć i wierzeń chrześcijańskich, niż zapowiedzi Kabały. Do pięknych tradycyj ludzkości, wynaturzonych i zepsutych, należy wiara żydów w to, że są ludem wybranym. Żydzi w Kabale połączyli z tem pojęcie ekskluzywności, która odmawia gojom udziału w przyszłem życiu, a nawet nie uważa ich niekiedy za ludzi. A wreszcie opowiadania Kabały noszą na sobie miejscami poprostu cechy bajek, właściwych dziecięcemu wiekowi ludzkości.

P. Webster, której praca, licząca kilkaset stron druku, odznacza się niezwykłem bogactwem nagromadzonych szczegółów i informacyj, która jednak bardzo pościągliwie stawia wnioski i wyciąga uogólnienia, traktując Kabałę, jako podstawę wielu tajnych związków, istniejących w starożytności, nie porusza kwestji, czy istnieją i jakie istnieją analogje między teorjami Kabały a zasadami masonerji.

Przypomina tylko, że frazeologja, słowa, znaki i niektóre legendy masońskie są zaczerpnięte z Kabały, podkreślając szczegół, że Kabała wywodzi swe pochodzenie w ten sam sposób, w jaki przedstawia swe pochodzenie masonerja: od Adama i patrjarchów.

Natomiast z przedstawienia historji i organizacji tajnych związków, jakie znajdujemy w pracy p. Webster, wynika, że masonerja odziedziczyła po tych związkach niejedno.

O współczesnej Chrystusowi sekcie Esseńczyków mówi nam autorka, że miała ona stopnie wtajemniczenia i znaki rozpoznawcze.

Gnostycy, pierwsza sekta przeciwchrześcijańska, byli również tajnym związkiem o wielu stopniach wtajemniczenia i mieli inną prawdę dla wtajemniczonych, inną dla tłumu. Autorka podkreśla wszędzie rolę, odgrywaną w tych związkach i sektach przez żydów. O filozofji Gnostyków, których założycielem na terenie Syrji i Palestyny był żyd Magnus, a głównymi przywódcami dwaj filozofowie z Aleksandrji, Philo i Arystoteles, powiada, że była ona dla żydów „całkowitym powrotem do religji ojców”. Uzupełniali ją jednak pożyczkami z innych religij, co miało otworzyć Judaizmowi drogę do dalszych podbojów. Ten system zapożyczania od innych ras i religij idej, które mogłyby stać się użytecznemi dla ich celów, był zawsze zwyczajem żydów, dodaje w tem miejscu autorka.

W sekcie Gnostyków istniało wiele odrębnych prądów, znanych pod różnemi nazwami, głoszących teorje, odnajdywane w wywrotowych dążeniach, niekiedy nawet w demokratycznych kierunkach dzisiejszych czasów. Tendencję do deifikacji ludzkiej natury, tę samą, która leży i dziś w podstawie prądów demokratycznych, spotykamy w odłamie Gnostyków, noszących nazwę Korpotracjon. P. Webster patrzy na Korpotracjon, jak na prąd, od którego rozpoczyna się walka między dwiema zasadniczemi koncepcjami: jedną chrześcijańską, dla której człowiek jest tym, który wznosić się winien do Boga, i drugą, która sądzi, że jednostka nie potrzebuje kierownictwa z góry, ale może rządzić się prawami swojej natury. Dowiadujemy się ponadto, że Korpotracjanie byli komunistami, utrzymywali, że komunizm jest rzeczą zgodną z prawami natury, że ludzkie prawa zepsuły dawny, dobry porządek rzeczy, w którym wszystko było wspólne, że zaprowadzili u siebie wspólność kobiet. Dowiadujemy się dalej, że Antitakci, inny odłam sekty, wyznając ten sam kult ludzkiej natury, dochodzili do odrzucenia wszelkiego prawa i wszelkiej religji i do gloryfikacji ciała. Ophici gloryfikowali zło (teorja, która gra rolę i w niektórych dzisiejszych rewolucyjnych prądach): mieli kult dla węża, zwanego demiurgiem za to, że się zbuntował przeciw Jehowie. Kainici czcili Kaina oraz Dathema i Abirama, mieszkańców Sodomy i Gomory, jak również Judasza Iskarjotę. Twierdzili, że posiadali ewan-

[1]) „*De l'Harmonie entre l'Eglise et la Synagogue*“.

gelję Judasza. U Gnostyków spotykamy się po raz pierwszy ze zorganizowaną perwersją.

Pewne cechy, właściwe nietylko prądom demokratycznym lub wywrotowym, ale wprost już masonerji, zarówno jak pewne formuły, odnajdywane w masonerji, spotykamy u Manichejczyków, sekty zorganizowanej w związek w Persji w 100 lat po Gnostykach, w III zatem wieku po Chrystusie. Dzielili się oni na stopnie wtajemniczenia, mieli znaki, chwyty i słowa umówione. Nazywali podobno swego założyciela, Manesa, „synem wdowy", a siebie „dziećmi wdowy". W nauce ich były rzeczy, zapożyczone z Chrześcijaństwa, od Gnostyków i z nauki Zoroastra. Podstawą ich wierzeń, był, jak w Kabale, dualizm, przyczem zło uważali za panujące, zasadę zła za wieczną; Adam i Ewa to cząstki złego ducha (Kabała ujmować ma to samo w sposób o wiele grubszy i bardziej obrazowy, opowiadając, że Adam żył z djablicami, podczas gdy Ewa pocieszała się z djabłami męskiego rodzaju).

(Dok. nast.) MARJA STECKA

ZE STUDJÓW DANTEJSKICH

KIEDY J. Klaczko przed osiemdziesięciu laty zdawał sprawę w *„Revue Contemporaine"* (1854 r.) z ówczesnego stanu studjów dantejskich w Europie, to, po zaznaczeniu paru dodatnich faktów w tej mierze we Francji, a nie dostrzegając ich prawie we Włoszech, dopiero w Niemczech znalazł tego rodzaju stan rzeczy, na którym warto było dłużej się zatrzymać i szerzej o tem porozprawiać. (J. Klaczko: „Szkice i Rozprawy literackie", studjum p. t. „Dante wobec krytyki nowoczesnej").

W istocie, w tym czasie, Niemcy przodowały w studjach nad Dantem, pobudzając innych do systematycznej pracy nad nim, do głębszego wniknięcia w treść jego ducha oraz jego twórczości. Ten okres rozkwitu studjów dantejskich w Niemczech wiąże się z imionami szeregu takich badaczy jak: Philaletes (Król saski, Jan), Schlosser, E. Ruth, K. Witte, Wegele i w. in., z założeniem „Towarzystwa Dantego"i z jego wydawnictwami (*„Jahrbuch der deutschen Dante-Gesellchafft"*). Niemcy aż do naszych czasów nie ustawali w skrzętnem badaniu żywota oraz dzieł Dantego, i dziś jeszcze nie brak im ludzi i prac (K. Vossler, Steiner, i t. p.), z któremi trzeba się liczyć, o pierwszeństwie ich wszakże w dantologji już obecnie nie może być mowy. (Nie wspominam już o tem, że nie jedna hypoteza niemiecka została z biegiem lat porzucona, a nie jeden ich pomysł okazał się nietrafnym — wszakże nawet Klaczko, chociaż nie fachowiec, obalał zgrabnie pomysły K. Witte'go, i Wegele'go — co zaś do badań filologicznych i egzegetycznych, w których celowali, to te nieraz zaprzątały się zanadto drobiazgami i grzęzły w jałowej erudycji).

Dużo się bowiem zmieniło w dziedzinie studjów dantejskich od czasu, w którym Klaczko był niemi zajęty. W innych krajach, po za Niemcami (Anglja, a nawet Ameryka) dokonano wielu rzeczy (wydania krytycznie dzieł, bibljografje etc..) które przyczyniły się znacznie do postępu tych studjów.

Najważniejsza jednak zmiana w tej mierze dokonała się w samej ojczyźnie Dantego, która jeszcze w początkach drugiej połowy XIX stulecia pozostawała w tyle za innemi, gdy chodzi o pracę nad nim. Włosi, znacznie opóźnieni pod względem systematycznej pracy nad swoim największym poetą (włoskie Tow. Dantego powstało w 1888 r., podczas gdy niemieckie istniało już w 1865.), w okresie kilkudziesięciu lat ostatnich zrównali się w niej z innymi, a nawet, na wielu punktach, ich prześcignęli. Już nie mówię o tej gorliwości i tym zapale, z jakiemi badają od szeregu lat twórczość Dantego, zarówno jak i o tej czci, jaką mu oddają! Ale też i pod względem wytrawności i pewności wogóle wiedzy o nim, oraz samodzielności poglądów, zarówno na jego osobę moralną jak i na rozwój jego twórczości — górują nierzadko nad swoimi mistrzami dawnymi.

Tak się złożyło, że ostatnio mogłem to wszystko jeszcze raz stwierdzić, czytając jednocześnie dwie, świeżo wydane, włoskie prace o Dantem, z których jedna (*„Dante. Vita, Opere e Fortuna"*. 1933 r. str. 270) wyszła z pod pióra być może najwybitniejszego w dobie obecnej dantologa — M. Barbi'ego, drugiej autorem zaś (*„Dante Vivo"*. 1933 r. str. 445) — jest bardzo utalentowany zresztą pisarz, bo Giovanni Papini, w sprawach jednak dantejsich można go zaliczyć do kategorji światłych „miłośników".

Powyższe książki są dobrą miarą tego, na jak wysokim poziomie stoją dzisiaj we Włoszech studja dantejskie; a także jak tam fachowi badacze wielkiego florentyjczyka nietylko mogą imponować ogromną erudycją oraz ścisłością w badaniu, lecz i pełną wdzięku prostotą ujęcia przedmiotu oraz jasnością wykładu; „miłośnicy" zaś jak niepospolitą posiedli wiedzę i nie schodzą przytem na drogi dociekań bezpłodnych oraz czczych popisów erudycyjnych.

W książce M. Barbi'ego znajduje się treściwy zarys żywota i dzieł Dantego, rzecz pisana dla wielkiej *„Enciclopedia Italiana"*, a więc dla wszystkich; dodane tu zostały jeszcze dwa studja krytyczne, w których autor prostuje błędne poglądy wielu, współczesnych zwłaszcza, badaczy, na stosunek Dantego do paru postaci „Boskiej Komedji" (Francesca da Rimini. Farinata degli Uberti — słowem rzeczy przeznaczone dla ludzi jednego fachu).

Wszystkie jednak te prace, zarówno popularne jak fachowe, mogły wyjść z pod pióra tylko tak niezwykłego znawcy Dantego, jakim jest Barbi, i jednakowo są wyrazem jego wiedzy wytrawnej oraz rzetelności badawczej, nie mówiąc już o jego darze przedstawiania spraw, nieraz bardzo zawiłych i ciemnych, w sposób nader prosty i jasny.

Czytając ten zwięzły, lecz jakże esencjonalny, zarys żywota i dzieł Dantego — przychodzi na myśl zdanie Monteskjusza: *„Celui qui voit tout, abrège tout"* („Ten, co widzi wszystko, skraca wszystko"), gdyż tylko ktoś, kto miał wciąż przed wzrokiem całość tego wszystkiego, co o twórcy „Boskiej komedji" mniemano i pisano; który nadto ten ogrom materjału sam przewertował i zbadał krytycznie — mógł go zredukować do tak skróconych rozmiarów, i zawrzeć w nich tylko to, co o Dantem można wiedzieć napewno.

Ten wzorowy skrót znakomitego kierownika wydawnictwa *„Studi Danteschi“*, w którym została zawarta pełnia wiedzy niezbędnej i niewątpliwej o Dantem, może służyć również przykładem, jak należy pisać o rzeczach trudnych i wzniosłych nie podnosząc zbytnio uroczystego tonu, i niepoświęcając słusznego rozumowania — na podstawie dostatecznie stwierdzonych faktów — oraz zdrowego sensu, na rzecz pustej, acz górnolotnej frazeologji.

Powyższe przymioty odnajdują się również w specjalnych studjach krytycznych, dołączonych do „Żywota Dantego”, w których nadto podziwiać można, nie mówiąc już o niezrównanej erudycji autora, subtelność analizy i zawsze czujny krytycyzm wobec wszelkich ponętnych fantazyj, za jakiemi często idą dantolodzy, zamiast iść przedewszystkiem za Dantem — jak powiada Barbi. Jego metoda badawcza polega, między innemi, właśnie na tem, by nie przypisywać Dantemu uczuć i myśli, których niema u niego, i co nie godzą się dobrze z kontekstem. Tego rodzaju ścisłość nie jest wyrazem pedantyzmu badacza, lecz dowodem sumienności krytyka, który jest zdania, iż jego obowiązkiem jest odtworzyć w sobie i ukazać oczom ludzkim wizję wielkiego poety z możliwie największą wiernością.

Jak wyniki studjów Barbi'ego nad Dantem przemawiają autorytatywnie do innych, jakie budzą zaufanie wśród tych, co się nad zagadnieniami dantejskiemi zastanawiają, najlepszem tego świadectwem może być książka *„Dante Vivo“* — tak przekornego i zazdrosnego o swoją samodzielność pisarza, jakim jest G. Papini, który jeśli na czyim sądzie polega zawsze prawie bez zastrzeżeń, to tylko na zdaniu wydawcy *„Studi Danteschi“*. Tego rodzaju zgodność „miłośnika“ z fachowcem jest tem znamienniejsza, ile że Papini w książce swojej o Dantem występuje, z jednej strony, przeciw t. zw. jego „bronzownikom“ — jak się to u nas mówi — to jest przeciw jego przesadnym wielbicielom, którzy go pokrywają, od stóp do głowy, samemi superlatywami, z drugiej zaś — przeciw erudytom, grzebiącym się stale w samych drobiazgach, bez większego znaczenia, gdy chodzi o duszę poety.

Ale — jak wygląda sam G. Papini w charakterze piszącego o Dantem? Powiem odrazu, że niekiedy ten „miłośnik“ sprawia wrażenie pierwszorzędnego fachowca — erudyty, który potrafi b. zawikłane zagadnienia twórczości dantejskiej rozwikływać o wiele szczęśliwiej od niejednego fachowca z urzędu; jako czciciel natomiast największego poety swego narodu, nigdy nie zapomina, że ma do czynienia nie z pół-bogiem, lecz z człowiekiem ze wszelkiemi jego ułomnościami i wadami.

Książkę swoją o Dantem pisał Papini w przekonaniu, iż by go należycie zrozumieć, trzeba być w jednej osobie — czem właśnie on sam jest — katolikiem, artystą i florentyjczykiem. „Nietylko do tych trzech przymiotów ściąga się Dante“ — powiada Papini — „nie wydaje mi się jednak czczą przechwałką przekonanie, iż ich posiadanie może być z pożytkiem tego, co się z nim chce zmierzyć“. „Nie jest to rzeczą złą dla dantologa“ — mówi dalej — „mieć nieco wiary chrześcijańskiej, trochę doświadczenia w rzeczach sztuki, i być urodzonym we Florencji“. Być katolikiem — to znaczy czuć jeszcze żywo prawdę tego, co Dante czuł i w co wierzył; artystą — dlatego, że tylko poeta może przeniknąć, lepiej od krytyków, genjusz i duszę innego poety; gdy zaś chodzi o florentyjczyka, to ten, z natury swojej, jest bardziej usposobiony do zrozumienia Dantego, niż ktokolwiek inny. Aczkolwiek bowiem Dante, z powodu wzniosłości swej duszy natchnionej oraz treści twórczej, jest poetą uniwersalnym, to jednakże cechy, które go takim czynią, są związane z pewnemi właściwościami cielesnemi, z niektóremi przypadkami ducha lokalnego oraz z okolicznościami historycznemi, co wszystko razem może być należycie rozpoznane i wymierzone tylko przez ludzi jednej z nim rasy.

Może się mylę, zdaje mi się jednak, że właśnie posiadanie wszystkich powyższych kwalifikacyj pozwoliło Papini'emu przedstawić nam Dantego, z całą swobodą i szczerością, nie jako istotę nadludzką, w każdym calu i w każdym momencie swego życia — wielką, wzniosłą i monumentalną, lecz jako „syna słońca i ziemi“, jako „człowieka, po ludzku ludzkiego“ — mówiąc słowami autora *„Dante Vivo“*.

Dante oficjalny, pomnikowy, nie jest, podług niego, człowiekiem autentycznym, sprowadza go zatem do właściwych rozmiarów, nie po to oczywiście, by go pomniejszyć, lecz by uczynić żywym, a przez to nas samych zbliżyć do niego.

„Jego słabostki, a nawet wady, pozwalają nam“ — powiada Papini — „uważać go za bliskiego sobie, jakby za brata; naturalnie brata nieskończenie większego od nas, zawsze jednak ulepionego z tej samej ziemskiej gliny, z jakiej wszyscy jesteśmy ulepieni“.

Z tego braterskiego stanowiska oświetla Papini ułomności, cielesnej i moralnej natury Dantego, jego grzechy i przewinienia; mówi jednak o tem bez ogródek, nie tak jak jego rozmaici czciciele oficjalni, dla których np. jego gniew był „szlachetną pogardą“, pycha zaś „naturalną świadomością własnej wielkości“ i t. p.

Na trzy główne grzechy Dantego, których potwierdzenie z łatwością odnajdujemy w jego życiu oraz dziełach, kładzie nacisk Papini; są to: lubieżność, gniew i duma (pycha). Grzechy te są, w dodatku, zupełną antytezą trzech podstawowych cnót chrześcijanina, w szczególności tego bohaterskiego uosobienia Chrześcijaństwa, jakiem był w jego czasach prawdziwy franciszkanin. Uderza to tem bardziej, ile że Dante był jednym z największych czcicieli św. Franciszka.

Grzechom, wynikającym z lubieżności oraz gniewu dantejskiego, poświęca Papini sporo miejsca w szeregu rozdziałów książki swojej; — ciekawsze jednak i oryginalniejsze, przynoszące wiele nowego, jest to, co mówi o dumie Dantego oraz jego niezgodności wogóle z wyobrażeniem prawdziwego chrześcijanina.

Dantego można określić — zdaniem Papini'ego — jako „człowieka, który chciał, lecz nie mógł być ukoronowany“... Nie chodzi tu o tę koronę, o jakiej nieraz marzył i która mu się słusznie należała jako poecie. Aspiracje Dantego sięgają o wiele wyżej.

W dziełach swoich przemawia on często jakby w imieniu jakiejś władzy, która przewyższa panowanie ziemskie, świeckie i święte. Chociaż jest w rzeczywistości ziemskiej tylko ubogim i tułającym się wygnańcem, pozbawionym wszelkich tytułów oraz mocy, mimo to pozwala on sobie na strofowanie cesarza, na przywoływanie narodów do jedności, na ciskanie przekleństw i wygrażanie miastom oraz potępianie i skazywanie papieży,

wreszcie na przemawianie w imieniu Italji i ludu chrześcijańskiego. Jako sędzia zmarłych Dante zastępuje papieża w sprawowaniu władzy związywania i rozwiązywania, przyznanej św. Piotrowi. Sąd ostateczny nad grzesznikami i sprawiedliwymi należy do Boga — poeta jednakże go w tem uprzedza. Narówni z Panem Bogiem domaga się on rachunku od Jego wikarjuszów na ziemi, ich zaś niesprawiedliwe wyroki zastępuje swoją wyższą sprawiedliwością i t. p. Słowem sprawia Dante wrażenie tego rodzaju wyjątkowego śmiertelnika, który ośmiela się sięgać po dwie korony (korona i tjara), i zachowywać się tak, jakby wierzył, iż spoczywają one na jego głowie.

Jak teraz, wobec potrójnej grzeszności Dantego, mamy go oceniać jako chrześcijanina i katolika?

Był Dante — co też Papini doskonale uzasadnia — chrześcijaninem oraz katolikiem z urodzenia i własnej woli, a wszelkich heretyków i siewców odszczepieństwa miał w pogardzie. Chodzi tu jednak o to, w jakiej mierze, w duszy swojej oraz w praktyce, był chrześcijaninem? W jakim sensie, mając na względzie całość jego myśli, był katolikiem?

Otóż Papini wykazuje, że Dante należał do tej kategorji chrześcijan, którzy wzywają innych do doskonałości ewangelicznej, powodowani pragnieniem chrześcijańskiem przyjścia braci swojej z pomocą, sami jednak dalecy są od tej doskonałości. O dwulicowość nie można ich pomawiać, gdyż intencje ich są jaknajszczersze: widzą oni ideał, uznają konieczność dążenia do niego i osiągnięcia go — im samym wszakże brak sił oraz właściwości przyrodzonych, które wiodą na wyżyny. Jednym z takich chrześcijan, którzy powołują innych tam, dokąd sami jeszcze nie doszli, był właśnie Dante.

Nietylko jako ten, co rozmijał się z cnotami: czystości, pokory, ubóstwa, miłości i t. p., Dante nie odpowiada ideałowi chrześcijanina, lecz jeszcze jako myśliciel i poeta.

Tak więc czcił Dante wiele osobistości ze świata pogańskiego, był zbyt wielkim, jak na chrześcijanina, wielbicielem starożytnego Rzymu, jego państwa i cnoty, nie mówiąc już o jego poezji. Poza tem, co autor szczególnie podkreśla w osobnym rozdziale, miał Dante zwyczaj stosować wyrażenia i pochwały, przeznaczone w Piśmie Świętem oraz liturgji tylko dla Chrystusa i Dziewicy Marji, do rozmaitych istot ludzkich, nawet do siebie samego. „Fakt ubóstwienia Beatryczy, jakkolwiekbądź mamy rozumieć ten symbol, pozostanie zawsze zagadkowym i niepokojącym“ — twierdzi Papini.

Zatrzymajmy się na chwilę na tej „niepokojącej” zagadce dantejskiej, ponieważ niepodobna, mówiąc o Dantem, pominąć Beatryczy.

Godząc się z tem, co już nie budzi wątpliwości (Beatrycze, po śmierci, staje się symbolem wiedzy rzeczy świętych, t. j. Teologji i t. p.) nie sądzi jednak Papini, żeby dyskusja z powodu Beatryczy została zamknięta. Schodząc, podług swego zwyczaju, z drogi utartej — Papini zapytuje: z jakiego powodu mógł Dante wyolbrzymić do tego stopnia postać zwykłej dzieweczki oraz małżonki florentyjskiej, że aż wyniósł ją ponad aniołów i błogosławionych, i postawił, prawie narówni, z Dziewicą Marją, czyniąc z niej jakąś nową pośredniczkę pomiędzy ludzkością, uosobioną w Dantem, i wysoką boskością? Żaden w istocie poeta, ani przed nim, ani po nim — w dodatku poeta chrześcijański — nie ubóstwił do tego stopnia kobiety, żadnemu nie przyszło do głowy uczynić z kobiety ukochanej tak szczególnie umiłowanego dzieła Pana Boga.

Mając na względzie, iż w Chrześcijaństwie tylko dwie spotykamy istoty, w których boskość łączy się z człowieczeństwem (Chrystus i Matka Boska), Papini jest zdania, że Dante, który stawiał Beatryczę niemal na jednym z niemi stopieniu, jakby pragnął storzyć sobie, na swój osobisty użytek, własną Madonnę, która byłaby pośredniczką pomiędzy nim i Matką Bożą, jak ona jest tem pomiędzy ludźmi i Chrystusem.

Oto jakie widoki — nieoczekiwane częstokroć i niespotykane u dantologów z profesji — odsłania nam Papini na autentycznego Dantego, na Dantego — grzesznika, na brata naszego, ulepionego z tej samej gliny, z jakiej wszyscy jesteśmy ulepieni.

No, tak! Glina ta sama, duch jednak, jaki tchnął w nią Stwórca — jakże się różni od tego, który ożywia ogół śmiertelnych. I to również odsłania Papini w swojej pięknej książce. Wszystko w tym duchu wyjątkowym jest zakrojone na niezwykłą miarę: gniew, pogarda, duma, wiara i miłość, wogóle uczucia i namiętności — są tak potężne, że gdy Dante nawet opiera się na uznanych przez się ustawach boskich i ludzkich, to je przekracza, staje poza niemi, albo nad niemi, na własnem, niezależnem stanowisku. Stąd pochodzą te sprzeczności, jakie zachodzą między ideałami, do których nawołuje ludzi, a jego własnem zachowaniem się.

Tego rodzaju ostre rozdźwięki w życiu Dantego pochodzą, trzeba dodać, z jednego jeszcze, uszlachetniającego źródła, mianowicie z wielkiego cierpienia.

Wielkość Dantego, zdaniem Papini'ego, mierzy się nietylko wielkością jego genjuszu, lecz także ogromem jego cierpienia, i ono to uwzniośliło jego genjusz.

Przyczyną wielkości cierpienia Dantego są nietylko jego osobiste zawody i klęski życiowe, lecz przedewszystkiem ogromnie bolesne odczucie zła, panującego w świecie i w czasach, w których żył i działał.

Stąd ta, właściwa mu, gwałtowność reakcji na owo zło, i żądza wielka wyrwania go z korzeniem, radykalnego uzdrowienia ludzkości.

„Boska Komedja“, między innemi, była stworzona — jak uzasadnia Papini — pod wpływem tego, przejmującego jego istotę, pragnienia.

„Boska Komedja“ — powiada P. — miała znaczyć nową epokę w dziejach rodzaju ludzkiego, czyniąc szczęśliwymi nieszczęśliwych, a grzeszników świętymi. Twórca „Komedji“ słowem powraca, intuicyjnie i świadomie, do starożytnego pojęcia, które czyni z poezji synonim magji, t. j. władzy, dokonywającej cudownych przekształceń...

„Boska Komedja“ zatem jest tym cudem poezji, która chciała wywołać istotny cud natury duchowej, a wskutek tego nietylko należy do małej historji literatury, lecz, przedewszystkiem, do tajemniczej i bolesnej historji rodzaju ludzkiego...

Na tem kończę, wyrażając nadzieję, że ta oryginalna i prawdziwa książka o Dancie „żywym“ — znajdzie się wkrótce w ręku naszego czytelnika w dobrym przekładzie polskim.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

ODLOT POETY W OBCE KRAJE

ISTNIEJĄ liczne na to dowody, że „sprawa“ Cyprjana Norwida obudziła zainteresowanie w szerokich kołach czytelników. Zaciekawienie to kojarzy się z potrzebą krytycznego zbadania dziedzictwa umysłowego wieku XIX. Norwid daje po temu doskonałą sposobność, o ile jest traktowany ze stanowiska historycznego—nie legendarnie, lecz jako jednostka realna. W tej myśli pisałem poprzednie o nim szkice [1]), a teraz pragnę pokazać, jak to było z emigracją Norwida.

1

Gdy mowa o drogach życia poety, to tych dróg początku, kierunku i celu trzeba szukać przedewszystkiem w jego psychice, od tego więc zacznę.

Dla Norwida najrealniejszą z realności była idea, świat idealny. Dominantą w jego stosunku psychicznym do życia był poryw w górę ku temu światu, który według ducha prądów filozoficznych, panujących wówczas w Warszawie, był realniejszy od rzeczywistości ziemskiej. Tę rzeczywistość godną człowieka wytwarzała właśnie idea. Cywilizacje są wielkiemi strukturami duchowemi, przeznaczonemi do przerabiania tej rzeczywistości na wartości wieczne. Norwid z ideą tej twórczości, na której szczycie stoi sztuka, złączył swój los osobisty. Wyjazd za granicę kraju, to szukanie dróg na szczyty cywilizacyj najwyższych.

Jeżeli dobrze sobie uprzytomnimy, jak ścisły związek zachodzi między duszą jednostki a ogniskiem cywilizacji rodzimej, jeżeli ten związek uznamy za normę, to zrozumiemy, jak wielkie zmiany dokonywają się w tej duszy, gdy ona zrywa więź rodzimą i zastępuje ją innym związkiem duchowym. Wstrząs taki bywa nader korzystny dla rozwoju jednostki, o ile jest elementarnie przygotowana do nadbudowywania się wyższą cywilizacją obcą, często jednak bywa dramatem nieporadności i katastrofą.

Popędowi temu Norwida towarzyszyła (w ówczesnym klimacie filozoficznym) świadomość dokonanego odkrycia, że ten popęd, czy dar widzenia artystycznego, jest czynnikiem naczelnym wszystkich prac ludzkich, dźwigających człowieka ku Niebu, skąd pochodzi każda anielska inspiracja. Opanowany tą ideą (nazwałem ten stan porażeniem filozoficznem), a z drugiej strony umocniony nadzwyczajnem powodzeniem, jakie jego talent zdobył w otoczeniu, poczuł się wybrańcem przeznaczenia, odpowiedzialnym za sekret tworzenia mu powierzony.

Główny motyw „Promethidiona“, później napisanego, tkwił w nim w zarodku od czasów warszawskich. Świat jest jak wielka wieża prac ludzkich, a na szczycie wszystkiego sztuka, on zaś w tej najszczytniejszej pracy—przodownikiem. Sztuka łączy w ten sposób ziemię z niebem. Jest, jak chorągiew na prac ludzkich wieży; jest „rzemiosłem“, bo wyrobem ludzkim ze środków, jakie daje ziemia, ale rzemiosłem apostolskiem, niebosiężnem, bo już jest właściwie „modlitwą anioła“.

Gdybyż tak wyglądała teorja czysto syllogistyczna, ale w tem było coś więcej — była wiara, wiążąca uczuciowo i pociągająca w tym kierunku wzwyż całą osobowość. I dlatego trudno rozeznać, czy Norwid był poetą, czy też filozofem. Czuł się porwany głosem Anioła na szczyt wieży ludzkiej. To była poza tem nie tylko koncepcja filozoficzna, nie tylko wiara, ale plastyczne widzenie artystyczne. Niebo i ziemia kosmicznie, tak jak są widzialne ludowi w związku z pojęciami religijnemi i poetyckiemi, stały się schematem, nieodparcie towarzyszącym wszystkim aktom wyobraźni Norwida, schematem, w który wrysowuje się każdy obraz jego myśli metafizycznej.

Jest to bardzo ważny moment psychologiczny ze względu na powiązanie przeświadczeń ze stanami uczuciowemi „zachwycenia“ i z popędami twórczemi, i z poczuciem mocy tworzenia, danej mu w ręce z woli Nieba. Każdemu artyście jest właściwy stan tego typu; tutaj trafił on na naturę szczególnie usposobioną do wiary w wysokie powołanie własne, naturę skłonną—jak pisała Żmichowska — do mistycyzmu, w dodatku nie mającą żadnych uzdolnień psychicznych do konfrontowania swych stanów subjektywnych z życiową rzeczywistością. W umysłowości poetów dość zwykłem zjawiskiem bywa to, co nazywamy potocznie zarozumiałością. Towarzyszy ona poczuciu, że się jest odkrywcą niedostępnych oku zwykłemu bytów, które tylko w formie artystycznej można ujawnić. Na tem tle zarozumiałość urasta do manji wielkości, która u Norwida będzie współczynnikiem uczuciowym wyobrażeń filozoficznych o roli człowieka, pośredniczącego między niebem i ziemią.

Młody Norwid słabo trzymał się gruntu rzeczywistości: jedynie widzeniem artystycznem. Stąpał lekko, zawsze z głową w obłoku urojeń, kierując się fikcją nawet w sprawach osobistych. Rosły skrzydła, stawał się lżejszy od powietrza. Wszystko składało się, że odrywał się od ziemi. Z jednej strony podnieta, którą znajdował w uznaniu i poklasku, z drugiej niewystarczająca zgoła artyście ciężka atmosfera warszawska i rodząca się tęsknota za powietrzem górskiem w wyższych regjonach cywilizacji; a wreszcie rozpierająca duszę ambicja, nawet zarozumiałość artysty, nie znającego jeszcze niebezpieczeństw na Ikarowych drogach sztuki. A Norwid nie tylko nie znał ich z doświadczenia, ale nie znał z teorji, słabe bowiem miał zapasy wiedzy zarówno w wykształceniu ogólnem, jak i specjalnie artystycznem.

Kto zna życie młodych umysłów ambitnych, ten wie, ile wpływu na psychikę i na postanowienia wywiera emulacja w stosunku do pewnych osób z otoczenia. One stają się konkretną miarą rzeczy, bezpośredniemi bodźcami. Widzę przez odległość, choć nie brak i dowodów, że takie punkty, jak Antoni Czajkowski w poezji, lub Edward Dembowski w filozofji, były dla Norwida punktami, które ambicja kazała mu zostawić daleko poza sobą.

Między niebem a ziemią niema pustki. Zasnuwa ją ludzkość swoją cywilizacją. Dostać się na szczyt tej wieży, aby tam zatknąć chorągiew sztuki, znaczy tyle, co posiąść sekret cywilizacji najwyższej. Były to czasy filozoficzne nauki o cywilizacjach i specjalnych teoryj historjozoficznych, które znajdziemy w pełni rozkwitu u Cieszkowskiego. Myśleć o Niebie, jak Norwid myślał

---

[1]) Ob. „Myśl Narodową“ n-ry 22—24 z r. 1930, 48, 49 i 53 z r. 1932, 1 i 5 z r. 1933.

aż do monomanji, to przedewszystkiem szukać szczytów ducha ludzkiego; dusza rwie się w wędrówkę, jak ów śmiałek w legendzie o szklanej górze. Nie wystarcza wyżyna rodzima: szczyty są gdzieś za górami. Wyrwać się ze swego widnokręgu wzwyż — to popęd prometejski.

Chodzi mi o to, że wyjazd Norwida za granicę był w jego wyobraźni podróżą ku Niebu. Pomógł mu do lotu mocną ręką Władysław Wężyk, do którego Norwid przylgnął jako do silniejszego. Wężyk miał także już dość Warszawy. Podobno musiał nawet wyjechać po zatargu z władzami. Paskiewicz jakoby kazał mu zgolić brodę, którą ten wysoko sobie cenił... Wszystko ma swoją stronę anegdotyczną. Nawet to, że na podróż do Nieba potrzebny był Norwidowi paszport.

2

Dziesięć lat przedtem, zanim Norwid zaczął robić skrzydłami, odlatywały z Polski duchy na zachód całą masą, jak stada żórawi. Ale przecież inne były motywy psychiczne, inne warunki. I to rozróżnienie trzeba zrobić, inaczej nie zrozumiemy, dlaczego Norwid, pomnożywszy szeregi emigracji, pozostał poza kręgiem jej psychiki i dlaczego nie może być uważany za poetę „emigracyjnego". Tego rozróżnienia w studjach nad poetą nie robiono i stąd pochodzi wiele nieporozumień. Wogóle zbyt sumarycznie i powierzchownie obchodzono się z psychologją czasów i Norwida. Zapewniano nas np., że Norwid opuścił kraj z powodu krzywd, jakich doznał od ludzi, którzy się na jego talencie nie poznali [2]). Było odwrotnie. Uznanie i pochwały dodały gazu do balonu, który uniósł go za kordony. Trudno byłoby powiedzieć coś stanowczego, czy wiedział nawet, po co wyjeżdża, czy miał plan studjów, czy zdawał sobie sprawę przed sobą, czego oczekuje od wielkiego świata: chwały Danta, czy też Michała Anioła. Legitymował się przed innymi i przed sobą koniecznością studjów w dziedzinie sztuk plastycznych. I od nich istotnie zaczął, poezja wszakże była w nim żywiołem mocniejszym i sztuką, nie wymagającą studjów tak systematycznych. Mówmy więc o poecie.

Czy był poetą emigracyjnym? Nie o to bowiem chodzi, czy był romantykiem. Powiadają, że nie był romantykiem i to go odcinało od obozu Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i in. Mojem zdaniem, był też romantykiem, choć ze szkoły nieco późniejszej, ale odcinała go od tamtych psychika nieemigracyjna.

Emigranci 1831 r. byli ludźmi katastrofy, ona im została w oczach, ona decydowała o ich postawie psychicznej — i to nie tylko jednostek; była to psychoza całego ich tłumu. To nie była panika, to był uroczysty akt protestu, dokonany przez reprezentację ducha narodu, akt wiążący moralnie wobec dziejów, wiążący wszystkich społem, dający szczególne namaszczenie poetom właśnie dlatego, że oni jedni mogli w dziełach swoich tę psychologię wobec świata zamanifestować. Był to zakon pielgrzymów, sprawujących pod wodzą Mickiewicza święte misterjum ducha narodowego na wygnaniu. Mogli tam być i klasycy między nimi, nie tylko romantycy, ale mieli wspólne—pielgrzymstwo protestacyjne. Norwid się różnił od nich nie manierą tworzenia i myślenia filozoficznego; tam były różne maniery; ale różnił się postawą duchową — nietylko od romantyka Mickiewicza, lecz równie dobrze od klasyka Czartoryskiego.

Emigracja ze względu na ten ton zasadniczy była zrzeszeniem politycznem i ten charakter musiała posiadać twórczość jej poetów i naszych filozofów. Norwid tego tonu nie miał, nic poza sobą nie reprezentował; jego „porażenie" nie było polityczne, jak tamtych, lecz filozoficzne. Motywem jego wędrownictwa nie był czyn zbawiania narodu, lecz pewna misyjność poznawania tajemnic sztuki. Jeśli tamten motyw polityczno-narodowy wydałby się estetom pospolity, jako życiowy, nawet (jak go teraz z racji studjów nad Norwidem nazywają) — „zaściankowy", ułańsko-szlachecki, niewyszukany (jak fujarka wobec pieśni Dantego),— to tem mniej mają potrzeby tłumaczyć niepopularność Norwida na emigracji jakiemiś osobistemi objawami złej woli ze strony współzawodników, czy koteryj. Dosyć stwierdzić, że w dziesięć lat nastąpiła taka rozbieżność między życiem umysłowem kraju i emigracji, iż warszawianin czuł się wśród emigracji, jak kanarek między wróblami. „Wróbel" zresztą jest w tym wypadku figurą przysłowiową; tam były różnego typu ptaki: były orły i sokoły, ale były i szpaki i gawrony. Wszystkie jednak patrzyły na kanarka zgryźliwie.

Oprócz przyczyny zasadniczej, o której wyżej, składały się na to również powody osobistej natury, mianowicie właściwości charakteru Norwida. Ale o tem później.

(Dok. nast.) ZYGMUNT WASILEWSKI

[2]) St. Kossowski pisał w „Chimerze", t. VIII (1909 r.): „Opuszczał swoich z goryczą w sercu i z duszą pełną zawodów i żalu, nierozumiany przez otoczenie, nie znajdując uznania... Niemiłosiernie ostrzem krytyki dotknięty i pewny, że u swoich pola działania nie znajdzie, rozpoczął okres wędrówki".

RZUT OKA NA ROZWÓJ DRZEWORYTNICTWA

DZIEŁO sztuki graficznej jest odbitką na papierze z klocka drzeworytniczego, płyty metalowej, lub kamienia. Odbicie może być powtórzone, rycina graficzna przeto istnieje w dowolnej, zależnej od techniki, ilości egzemplarzy. Z istoty grafiki wypływa więc powielanie, cecha zarazem reprodukcji mechanicznej, dlatego grafice przypadła także rola ogniwa między sztuką i reprodukcją.

Fakt ten, dodatni w swych skutkach praktycznych, o znaczeniu doniosłem dla rozwoju kultury, nie wpłynął jednak korzystnie na kształtowanie się własnego wyrazu graficznego wielu technik, przynajmniej w epoce ich powstania. Wyjaśnimy to na przykładzie. Drzeworyt w Europie powstał w XIV-tem stuleciu. Powołany został do życia nie w celu dania artystom nowych i odrębnych możliwości plastycznej wypowiedzi, lecz dla wygody powielania ręcznych minjatur, kart do gry, obrazków świętych. Zapomocą taniego, łatwego odbicia, uzyskano możność rozpowszechniania drogich dotychczas, bo w jednym tylko egzemplarzu istniejących, tworów plastyki.

Była to korzyść bezsporna; naśladując jednak ryciny ręcznie robione, drzeworyt zrzekał się tem-

samem własnej indywidualności. Naśladownictwo wypływało także z innych pobudek, mniej już groźnych i raczej przemijających. Stawiając pierwsze swe kroki, drzeworyt wzorował się z konieczności na innych rodzajach sztuk, o skrystalizowanem już obliczu, między innemi: witrażu, choć przecież nie miał zamiaru go zastępować.

Odgrywanie roli — powiedzmy to otwarcie— reprodukcji, powierzano jeszcze grafice niejednokrotnie, zanim wynalezione zostały techniki fotomechaniczne. Służba taka, pełniona w imię dobra kultury, dla rozwoju samej grafiki korzystna jednak nie była. Ubiegłe stulecia szczycą się nieraz wspaniałemi okazami sztuki drzeworytniczej, mimo to drzeworyt, aż do czasów niemal ostatnich, nie wyzyskuje wpełni swych możliwości technicznych. Wiek XIX-ty i XX-ty przynoszą w tym zakresie zasadnicze zmiany. Zanim do nich dojdziemy, skreślmy pokrótce przemiany w sposobach rozwiązywania drzeworytu na przestrzeni stuleci.

Najwcześniejsze drzeworyty posługiwały się tylko linją — konturem, — więc oczywiście, w przeciwieństwie do dzisiejszych, były bardzo jasne[1]), miały dużo białego tła. Typ ten utrzymuje się bardzo długo, choć z czasem kontur wzbogacony zostaje cieniowaniem, zapomocą krótkich kreseczek poprzecznych (druga poł. XV w.). Następnie kreski stają się dłuższe i wygięte, dążą za formą; cieniowanie, coraz bardziej obfite, stosuje kreski, krzyżujące się z sobą: kratkę (XVI i XVII w.). Taki sposób cieniowania, w drzeworycie trudny i dla jego techniki niezbyt właściwy, przeszedł doń ze swobodnego rysunku piórkowego na papierze, należy bowiem wiedzieć, iż w owych czasach artysta dawał tylko rysunek, a ciął go na drzewie kto inny: rzemieślnik-drzeworytnik. Temu nie pozostało nic innego, jak tylko podążać, nożem, lub dłutem, niewolniczo za śladami rysunku. Podobne zwyczaje nie dawały żadnego pola dla inwencji drzeworytniczej, podkreślenia odrębnych właściwości materjału i narzędzia. Oto zapewne jedna z przyczyn, hamującą tak długo pełny rozkwit drzeworytnictwa.

W XVIII-tem stuleciu obserwujemy już próby różniczkowania płaszczyn, zapomocą walorów i zaczątki efektów fakturowych, miedzy innemi, w ówczesnych winjetach drzeworytniczych do książek. W końcu XVIII-go stulecia pomysł, wprowadzony przez grafika angielskiego, Tomasza Bewicka, zaważył na szali dalszego rozwoju ksylografji i wpłynął w sposób najbardziej decydujący na ukształtowanie się współczesnego drzeworytnictwa Europy. Dotychczasowy stosunek bowiem między wysiłkiem a rezultatem był w drzeworytnictwie niewspółmierny. Ślad noża lub dłuta na desce jest biały, bo jako wklęsłość nie odbije się; ślad ołówka na papierze-czarny. Dawne drzeworyty, jak rysunek, czarne na białem, uwydatniały się przez wycięcie p r z e s t r z e n n i e p r z e w a ż a j ą c e g o tła.

Otóż Bewick zastosował kreskę nie czarną, a białą, ślad poprostu drogi narzędzia. Kreska taka, z charakteru drzeworytu wynikającą, zmieniła oblicze ksylografji. Rząd równoległych kresek, bruzd białych, w pewnej odległości od siebie, na czarnem tle drzeworytu rozmieszczonych, dawał w sumie płaszczyznę o dowolnem natężeniu szarości. Drzeworytnictwo ówczesne używa już techniki skomplikowanej, posługuje się plamą, walorami, stosuje także miejscami plamy zupełnie czarne, efekt, którego dotąd w kompozycjach grafika nie spotykamy.

Spadkobiercą idei Bewicka był u nas, niedoceniany należycie, W. Smokowski, autor ilustracyj do „Snopka nadwiślańskiego" (1844 r.) i „Witoloraudy" Kraszewskiego (1846 r.).

Metoda grafika angielskiego położyła — jak wspominaliśmy — podwaliny pod współczesne drzeworytnictwo Trzeba dodać zarazem, iż Bewick używał twardego drzewa bukszpanowego, ciętego wpoprzek pnia i rylców podobnych do narzędzi miedziorytnika, zamiast dłut. Ścisłość drzewa, precyzja narzędzi, pozwoliły na niemożliwą dotychczas drobiazgowość cięcia.

Nie wdając się w szczegóły kolejnych losów drzeworytu, zaznaczymy, że w drugiej połowie XIX-go wieku służył znowu celom reprodukcyjnym. Liczny zastęp naszych drzeworytników, doskonałych fachowców, kopjował w drzewie obrazy, oraz inne dzieła sztuki, sporządzając ilustracje do pism: „Kłosów", „Wędrowca" i „Tygodnika Illustrowanego".

W XX-tem stuleciu jesteśmy świadkami niesłychanego rozkwitu drzeworytnictwa wielu krajów Europy, w Polsce, ściślej mówiąc, okres ten rozpoczyna drugi dziesiątek stulecia. Trudno określić oczywiście wszystkie przyczyny takiego rozwoju współczesnej ksylografji, trzy z nich jednak możemy wymienić bez trudności.

Jedną jest swoboda, jaką posiadł drzeworyt, z chwilą rozpowszechnienia fotomechanicznych technik reprodukcyjnych. Nie zastępując więcej reprodukcji, może teraz zająć się sobą, wykazaniem własnych możliwości.

Drugą—przyjęta dziś powszechnie zasada rysowania i cięcia ryciny przez jedną i tę samą osobę. W ten sposób artysta, znając technikę, może dostosować do niej rysunek i świadom właściwości klocka, wyzyskać je wpełni.

Trzecią wreszcie—żywotność techniki drzeworytniczej: prostej, mocnej, zwartej, wyrazistej, a zarazem lakonicznej i syntetyzującej, a więc odpowiadającej naszym dzisiejszym upodobaniom. Prostota środków i jednocześnie bogactwo pomysłów, jakie można niemi wyrazić.

Na zakończenie chcemy zaznaczyć jeszcze jedną, jakże znamienną cechę współczesnej ksylografji: piętno sztuki narodowej wyziera dziś z drzeworytu daleko silniej, niż z jakiegokolwiek innego dzieła plastyki. Do dawnych obrazów stosujemy nieraz określenia: szkoła włoska, szkoła niemiecka, flamandzka i t. d. Ale ówczesne drzeworyty nie miały tak wyraźnych znamion odrębności. Dwu rycin, dwu narodów często trudno, a czasem niepodobna odróżnić. Dziś jest odwrotnie: malarstwo przenikają prądy międzynarodowe, drzeworyt zaś niejednokrotnie legitymuje nietylko artystę, ale i naród. A wśród każdej „szkoły" narodowej ryciny wyodrębniają się różnicami niezliczonych ujęć indywidualnych. Omówimy je wkrótce, posługując się materjałem, zebranym na „Pierwszej Międzynarodowej Wystawie Drzeworytów" w Warszawie, zorganizowanej przez „Instytut Propagandy Sztuki".

WIKTOR PODOSKI

[1]) Kolorowano je zawsze, ręcznie, farbami wodnemi; dlatego sam czarny kontur wystarczał.

NA WIDOWNI

Propagandowa książka. — O sens życia. — Bałwochwalstwo maszyny. — Głębsze pokłady.

NIEDAWNO nadesłano mi egzemplarz recenzyjny polskiego przekładu książki dra Klaus'a Mehnert'a: „Młodzież w Rosji sowieckiej" [1]). Rzecz ma charakter wybitnie stronniczy, propagandowy. Autor wprawdzie oświadcza na wstępie: „nie jestem z a związkiem Sowietów, ani też nie występuję p r z e c i w k o niemu", zapewnia, że szacuje zjawisko bolszewizmu wyłącznie z punktu widzenia Niemca-patrjoty, w dalszym ciągu jednakowoż nie okazuje ani przez chwilę, żeby kryterjum powyższe chociaż w czemkolwiek zaważyło naprawdę na jego ocenie. Postawa „obserwatora, najzupełniej objektywnego" (jak zachwala umieszczona na okładce książki reklama) służy w jego technice pisarskiej ku temu, żeby, w wypadku kontrowersji, z sędziowskim gestem nieuprzedzonego widza wypowiedzieć się na rzecz poglądów komunistycznych. Dr. Mehnert wspomina również ciemniejsze strony dzisiejszego życia w Rosji (te, o których opinja Europy jest oddawna szczegółowo powiadomiona), zawsze wszakże usiłuje opisywać je w taki sposób, by „z drugiej strony", jako z boku stojący spostrzegacz zauważyć, że w danej dziedzinie właśnie położenie z roku na rok się polepsza, że przywódcy komunizmu przedsięwzięli środki i t. p. Metodę przemilczania kłopotliwych spraw stosuje tak prostodusznie, że aż niezgrabnie. Na stu sześćdziesięciu dziewięciu stronicach, mających dać możliwie pełny obraz bytu i myśli młodego pokolenia w państwie Sowietów, nawet słóweczkiem, w jednem zdaniu pobocznem czy wtrąconem — nie napomyka np. o żydach albo kwestji żydowskiej.

Nie mniej wszakże — a może właśnie z tych względów książka jest niezaprzeczenie interesująca. Naogół dosyć już miewaliśmy sposobności, by zapoznać się z „prawdą o Rosji sowieckiej", o ciemiężeniu, o nędzy, o głodzie. Oddawna wykazano nam, na podstawie dokumentów, że „raj" bolszewicki nie jest rajem, że ideał komunistyczny zawodzi przy próbach urzeczywistnienia. Czy atoli wystarcza to, by go odrzucić, czy wskutek błędów i trudności realizacji nie załamywały się wielokrotnie usiłowania w historji najdodatniejsze, jak chociażby krucjaty? I w czem istotnie kryje się owa różnica nieskończona między zapałem przemęczonych, głodnych pracowników „piatiletki", a heroizmem również ginących z wycieńczenia, również ostatków sił dobywających — rycerzy Goffreda?

Otóż tu właśnie książka Mehnert'a powie niejedno, pozwoli wniknąć w treść entuzjazmu, jakim się karmi bezinteresowny, szczery wyznawca partji komunistycznej czy „komsomolec". I mniejsza nawet, czy takich zapaleńców będzie wielu, czy przez autora opisane środowiska są typowemi jako wyraz nastrojów kraju i czy zbyt często nie bierze pisarz swych marzeń za rzeczywistość. O sam sens życia tak pojętego chodzi, o przedmiot umiłowań.

Cała romantyka, wszystkie tęsknoty idealne młodej elity bolszewickiej — jeśli wierzyć opisom Mehnert'a — doskonale wyrażają się takiemi utworami poetyckiemi, jak np. przytoczony w jego książce „marsz monterów":

> „Państwo mieć pragnie dla *Kolchozów* [2])
> Niezliczonych stalowych agitatorów;
> Od Pacyfiku do Mińska, od Wiatki do Krymu
> Żyzna ziemia orna oczekuje traktorów".

Kształcenie studentów sowieckich ma cel ściśle praktyczny, techniczny, ma przygotować kierowników i organizatorów życia gospodarczego, tak jak oświata mas dąży przedewszystkiem do powiększenia ich sprawności, uzdatnienia ich do „zracjonalizowanej", wydajniejszej produkcji. Jedyną właściwie troską „komsomołu" („Komunistycznego Związku Młodzieży") jest — poza walką z religją — zwiększenie i „unowocześnienie" wytwórczości i temu zadaniu naczelnemu oddaje się on, według Mehnert'a, z niezachwianym niczem fanatyzmem i wytrwałością:

> „Najsłynniejsze są „Socjalistyczne zawody", w których... poszczególne grupy robotników, fabryk, szkół, miast, gałęzi przemysłu współzawodniczą o produkcję najlepszą pod względem ilości i jakości, o jaknajwiększą zniżkę kosztów produkcji i towaru wybrakowanego... Również znani są też „*udarniki*", robotnicy szturmowi, którzy zobowiązują się do pewnego określonego systemu postępowania i do przeprowadzenia pewnych robót... „*Subotniki*", są to dni odpoczynku, w których wykonywa się pracę dobrowolnie".

A oto charakterystyczny obrazek:

> „Podczas „wieczorów pracy" urządza się na scenach teatrzyków zawody. Występuje trzech drukarzy i, wobec widzów, śledzących ich ze skupioną uwagą, składają, prześcigając się wzajem, pewien określony rozdział; dziewczęta prześcigają się w owijaniu cukierków i tego rodzaju produkcje wypełniają wieczór".

Mimowoli przypomina się smutna, melanchlji pełna opowieść Gogola p. t. „*Sziniel*": Akakij Akakjewicz, drobny kancelista petersburski w epoce Mikołaja I, przez całe życie, od kilkudziesięciu lat pełnił służbę w ministerstwie, polegającą na przepisywaniu aktów urzędowych; kiedy zaś, po tej całodziennej pracy, wracał do domu, do biednego, samotnego pokoiku, zabierał z sobą niektóre dokumenty, aby raz jeszcze kopjować je... dla siebie, dla zabicia czasu...

Nasuwa się myśl, że wskazany wyżej kult techniki wytwórczej możliwy jest tylko w społeczeństwach dość pierwotnych, dla których, jak dla Rosjan właśnie, nowe systemy produkcji objawiły się niby jakiś cud z nieba, nie w rozwoju stopniowym i zrozumiałym, gotowe. Narody, które, jak Anglicy naprzykład, same czują się owego mechanizmu twórcami, z natury rzeczy mniej skłonne będą spoglądać nań z nabożną pokorą „komsomolca". Ale jest tutaj i zagadnienie głębsze, wypływające z najistotniejszych potrzeb ludzkiej duszy: bolszewizm programowo usunął religję, chciał wyrwać świat z metafizycznej zależności od Boga, a tymczasem w praktyce dochodzi do bałwochwalstwa, już nie człowieka nawet, ale maszyny i przed nią każe paść na kolana swojej najbardziej ideowej młodzieży. Jakże znamienne jest takie jedno słówko Mehnert'a, gdy opisuje nastrój chłopów skolektywizowanej wioski rosyjskiej: „Przedewszystkiem pomoc u b ó s t w i a n e g o traktora ma dla nich znaczenie tak poważne"... i t. d.

Ale poza tą pustką ideału bolszewickiego, bezdusznego jak stukot motoru, są w Rosji rzeczy mocniej w instynkt wrośnięte, w ciągu wielu pokoleń utrwalone, co Mehnert zanotuje od czasu

[1]) Dr. Klaus Mehnert: „Młodzież w Rosji sowieckiej", autoryzowany przekład z niemieckiego Heleny Weissowej. „Wydawnictwo nowoczesne", Warszawa, 1933.

[2]) „*Kolchoz*" — kolektywne gospodarstwo wiejskie.

do czasu w swej pracy, chociaż sensu tego nie próbuje pojąć ani ocenić:

„Ze wszystkich rysów rosyjskiego charakteru najmniejszej zmianie uległ rys jego nadzwyczajnej gościnności... Kiedy Rosjanin ma gościa, zatraca on całkowicie miarę tego, co jest dla niego możliwe do wykonania. Pewna chłopka zarżnęła dla nas swoją ostatnią kurę... Bartnik *kołchozu* przyniósł nam całe plastry miodu, którego nikt we wsi nigdy nie oglądał, był on bowiem wyłącznie przeznaczony na sprzedaż i dał nam spokój dopiero wówczas, gdy zrobiło się nam wszystkim niedobrze".

A przecież owe, nie przez komunizm wszczepione cnoty: honoru, wstydu, życzliwości wobec bliźniego umożliwiają życie w zbiorowości wogóle, więc także w społeczeństwie bolszewickiem, tak, jak nucona po staremu piosenka czy taniec dawny, stanowią jedyne bodaj ubarwienie szarego, w karby ciągłego przymusu ujętego bytowania sowieckiego pracownika. Zaś odwołanie się do ambicji narodowej, hasło: „dościgniemy i prześcigniemy" w postępie materjalnym kraje Zachodu, nie było przecież, jako bodziec moralny, bez wpływu na wykonawców planu uprzemysłowienia.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

ZAGADNIENIE ELITY RZĄDZĄCEJ, wprowadzone przez obóz sanacyjny na teren rozstrzygnięć praktycznych, zyskało jasne oświetlenie w opinji, którą na temat ten ogłosił Roman Dmowski (ob. nr. 41 „Myśli Narodowej"). Dla wielu ludzi, zwłaszcza w obozie sanacyjnym, nie umiejących wnikać w istotę narodowego odrodzenia (rewolucji narodowej), a traktujących procesy dziejowe ze stanowiska taktyki partyjnej, było niespodzianką, że Stronnictwo Narodowe w programie ustrojowym hołduje hierarchiczności, tak zwalczanej przez demokrację. Ale wprost rewelacją się stało przeniesienie sprawy Elity z terenu mechaniki prawno-państwowej na grunt organizacji moralnej.

Dmowski podkreślił dwa punkty: 1) znalezienie sposobu oddania rządów w ręce oligarchji narodowej nie jest łatwe. Będzie to „największe i najtrudniejsze zadanie polityczne jutrzejszej doby", 2) rządzenie nie jest sferą przywileju, lecz ciężkim obowiązkiem, domagającym się od Elity szczególnych kwalifikacyj moralnych. Elita pomyślana tylko od strony przywileju będzie efemerydą i narazić może państwo na ruinę.

Jeżeli Elita rządząca — poucza Dmowski — nie będzie obarczona obowiązkami, okupującemi jej prawa, będzie ona środowiskiem, przyciągającem i skupiającem wszelką sprytną lichotę. W krótkim czasie stanie się ona nieznośnym ciężarem dla narodu i najniebezpieczniejszym punktem organizacji państwa. Nie wiele czasu upłynie od jej uznania i powierzenia jej władzy do przewrotu, który ją od tej władzy odpędzi.

Słowa te dały wiele do myślenia. Minęły bowiem już lata upojenia faktami dokonanemi i młodsze pokolenie domaga się uzasadnień działań proponowanych na dłuższą metę. Dzisiaj już nie da się prowadzić nadal reform w sposób mechaniczny. Stąd potrzeba dyskusji zasadniczej.

Znamienny jest z tego powodu artykuł posła Mackiewicza, redaktora sanacyjnego „Słowa" w Wilnie (nr. 262) o „cnocie obywatelskiej". Pokazuje się, że jest to odgłos dyskusyj wileńskich na ten temat. P. Mackiewicz obmyślił ośm punktów, obowiązujących moralnie obywatela, członka „Elity". „Wyższa godność nakłada większe obowiązki"; więc obowiązek szanowania prawa, godności człowieka i państwa i t. d. P. Mackiewicz przyznaje się, że wymienia te obowiązki z zażenowaniem, bo to są jakoby truizmy. Wiemy jednak, że truizmem nazywają dziś ludzie to, co nie jest modne. Wszakże katechizm nie powinien być nigdy truizmem martwym. I bardzo nas cieszy, że w piśmie sanacyjnem znalazło się miejsce na katechizm obywatelski, który od dłuższego czasu wyszedł był z mody. Nie może bowiem naród daleko ujechać w dziejach na modzie, dajmy na to, Stankiewicza z Brzozowa. Zapobiegłoby się wielu niepotrzebnym rzeczom, gdyby Mackiewicze już wcześniej zaczęli wykładać Stankiewiczom katechizm obywatelski. I nie tylko Stankiewiczom.

Oczywiście, w katechizmie p. Mackiewicza brak jeszcze punktów, określających stosunek obywatela do narodu. Trudno wymagać wszystkiego odrazu, przyjdzie czas i na to. Narazie „naród" jest niemodny, „państwo" natomiast nie jest truizmem. Potrochu jednak i naród powróci do mody.

Kto w sobie pokonał obojętność na sprawy moralności w polityce, ten już zeszedł na grunt narodowy.

PRACE KONSTYTUCYJNE KLUBU BB. dobiegają końca. Można sobie wyobrazić, że wkrótce już konstytucja będzie „przepracowana", klub natomiast wstanie od warsztatu świeży i niezmęczony. Większość członków jego nie większy w tych pracach brała udział od reszty społeczeństwa. Jeśli się nie mylimy, to przeciętny poseł z BB równie powściągliwie interesował się pracami konstytucyjnemi, co przeciętny obywatel z Równego czy Łucka. I posłowi i „obywatelowi" wiadomo, że te rzeczy się robi. I jednemu i drugiemu wiadomo, że na rzeczy te wpływu mieć nie może. I nie mówimy tu tylko o starozakonnych posłach z BB i starozakonnych „obywatelach" z miasteczek kresowych. Apatja przeciętnego posła z BB dobrze odzwierciadla ogólną apatję społeczeństwa w sprawach konstytucyjnych. Tak bardzo powszechne jest poczucie, że nie ponosi się żadnej odpowiedzialności za te sprawy. W mikrokosmie BB obserwować to można całkiem dobrze. Nauka nie poszła w las: do odpowiedzialności za sprawy publiczne prawie nikt się nie poczuwa. Jest jeszcze i druga, ważniejsza może, przyczyna tego powszechnego braku zainteresowania. Tkwi ona w instynktownem poczuciu, że wszelka „zmiana", która utrwalać ma tylko istniejący stan rzeczy, czyli istniejące dziś rozbicie w narodzie, w rzeczywistości zmianą nie będzie, a tylko próbą obrony przed zmianami, które przyszłość z sobą musi przynieść i o tyle też próba ta jest nieciekawa. Rzeczywiste zmiany w życiu politycznem mogą być tylko skutkiem wystąpienia na widownię pokolenia młodszego, nie mającego w psychice kompleksów i urazów z okresu niewoli, demonstrowanych w czynie i słowie bez przerwy przez starszych działaczów, zwłaszcza z obozu „sanacji".

NIEPOROZUMIENIE MIĘDZY POKOLENIEM STARSZEM tych działaczów a całem młodszem pokoleniem myślącej politycznie Polski zaostrzać się będzie stale, naskutek coraz silniejszej w młodem pokoleniu reakcji poczucia śmieszności. Pod tym względem pokolenie młode będzie niewątpliwie reakcyjne. Poczucie śmieszności bowiem jest zarazem w dużej mierze poczuciem proporcji. Jest ono naturalnym wrogiem każdej gwałtownej propagandy, która prawdziwe rozmiary rzeczy próbuje przeistoczyć. Dziś właśnie żyjemy pod *regime*'m wytężonej propagandy, więcej brutalnie niż zręcznie szermującej swojemi hasłami. Chodzi niby o wszczepienie w duszę Polaka niezbędnych do życia w wolnej ojczyźnie pojęć, z których rzekomo wyzuła go niewola. Cóż najskuteczniej przeciwdziała tej propagandzie? Bezwątpienia poczucie łączności z Polską dawną i świadomość, że była państwem, narodem i mocarstwem, i że dziś nie zaczyna swej karjery od początku. Jest to nader potężny odczynnik na tandetną propagandę, i źródło spokoju w czasach karykaturalnego zamętu. Właściwie tylko myśl o dawnej Polsce może być dziś w duszy Polaka realną ostoją jego godności narodowej i pobłażliwości dla tego, co dziś karykaturalne. Cóż można na to poradzić, że przynależność moralna do Polski Kochanowskiego w zarodku niszczy sympatję dla zawołań i haseł ery sanacyjnej? Że ten drugi, późniejszy styl cywilizacji, choć cały nastawiony i wysilony na propagandę, propaguje się mimo to w duszy Polaka o wiele gorzej i słabiej od pierwszego? Że jeden śmieszny jest, a drugi nieśmieszny? Od tandety haseł do treści cywilizacyjnej — przeskok jakże daleki! Trudno, by wspomnienie o lepszych czasach cywilizacji polskiej nie było aktualną siłą w czasach dzisiejszych, siłą zbawczą i siłą komiczną. Komiczna dla pokolenia młodego wydawać się musi pompa haseł, szerzonych przez „wychowawców“, komiwojażerów i ajencje, gdy obecne i żywe w umysłach pozostaje wspomnienie o normalnym, europejskim narodzie i państwie.

POLSKA AKCYJNA SPÓŁKA TELEFONICZNA zwróciła się za pośrednictwem prasy do pracodawców warszawskich, proponując im zatrudnienienie telefonistek, usuwanych z powodu automatyzacji. Zarząd PAST-y wystawia nowym bezrobotnym doskonałe świadectwo. „Najlepsze pracownice... uzdolnione w różnych zawodach.. personel wyrobiony pod względem punktualności, dokładności i sumienności“.

Mimowoli nasuwa się pełne zadumy pytanie: czemuż takich pracownic nie zatrzymała PAST-a? Dlaczego w dobie kryzysu wyrzuca się na bruk setki uczciwych kobiet, zbywając je ochłapem odszkodowania i filantropijnym anonsem w gazetach? Czy naprawdę życie stolicy zostałoby zahamowane przez niewprowadzenie automatów? Zapewne, są one bardzo wygodne, ale skąd ta niewspółmierność uczuć PAST-y dla abonentów i dla pracowników? Czy decydowały tu względy dla klijentów, czy też poprostu interes spółki? Bo gdzieś się przecież podzieją pieniądze, odebrane biednym, redukowanym dziewczynom. Albo wsiąkną w automaty (a tem samem przysporzą zarobku szwedzkim fabrykom), albo powiększą dochody spółki (czyli również wyjadą zagranicę). A w kraju przybędzie kilka cyferek do oficjalnej statystyki bezrobocia. Małe to cyfry, ale pomyślmy, ile nędzy i rozpaczy ludzkiej zawierają! Zredukowane telefonistki albo nie znajdą pracy, albo zabiorą ją innym bezrobotnym. Czy zastanowią się nad tem ci, co deklamują o konieczności postępu technicznego, modernizacji, mechanizacji?

Plantatorzy amerykańscy niszczą zapasy pszenicy i kawy w obliczu głodujących mas innych krajów. Czujemy w tem potworność moralną. Ale tam skazuje się na głód inne kraje, poto aby uniknąć ruiny własnego. U nas inaczej!

My wyrzucamy na bruk rdzenną ludność, poto, żeby dać zarobek obcemu fabrykantowi. A władza państwowa, której ingerencja sięga coraz głębiej w życie gospodarcze — wobec tego potwornego w swej istocie faktu — jest, czy chce być bezsilna.

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Termin „bizantynizm“ ma dla Polaków szczególnie odrażające brzmienie, gdyż mimowoli kojarzymy go z despotyzmem i obcą nam kulturą carskiej Rosji. Tem się zapewne tłumaczy, że bizantynistyką tak mało się u nas zajmowano, że tak właśnie mało wiemy o dziejach Bizancjum, i nic prawie o jego literaturze; daleko w tym względzie jesteśmy i za Niemcami i za Francją, za Rosją i południową słowiańszczyzną, a nawet za Rumunją i Czechami. W literaturze jedyny bodaj T. Miciński wniknął w zakamarki bizantyńskich dziejów, dając coprawda niesłychanie trafny ich obraz w „Bazylissie Teofanu“. Przyswojeniem polszczyźnie wyboru poezji i prozy bizantyńskiej zajęto się dopiero ostatniemi czasy; w zbiorze „Dzieł Ojców Kościoła“ w Poznaniu wyszły listy pierwszego z poetów bizantyńskich, Grzegorza z Nazjanzu, a wkrótce ukażą się tegoż mowy i poematy, antologię zaś bizantyńską po w. XV ogłoszono w „Literaturze powszechnej“ S. Lama (Trzaska-Evert-Michalski). Samą historję literatury bizantyńskiej opracował najlepszy jej znawca w Polsce, rektor J. Sajdak; rzecz to sumienna i głęboko ujęta — jedyne, co zarzucić można, to że autor nazbyt szeroko zajął się okresem wczesnym tej literatury (prawda, że najświetniejszym), a ostatnie wieki zbył krótko. Teraz prof. Sajdak ogłosił (w Tow. Nauk. Pozn.) rozprawę p. t. „Bizantynistyka, źródła i zarys dziejów“. Dowiadujemy się z niej, że twórcami bizantynistyki są uczeni francuscy z epoki Ludwika XIV; pracę ich podjął dopiero w XIX w. Niebuhr, potem benedyktyni francuscy, wśród nich Migne, twórca słynnej „Patrologji greckiej“ w 386 tomach. Za ich przykładem poszły inne zakony (bollandyści, augustjanie). W drugiej połowie XIX w. powstają w różnych krajach — głównie w Niemczech — katedry bizantynistyki; przoduje tu głośny Krumbacher, autor wspaniałej historji literatury bizantyńskiej i twórca szkoły bizantynologicznej. Drugiem wielkiem ogniskiem był Petersburg; zwłaszcza Uspienskij poniósł tu zasługi niezmierne. W Rzymie kieruje dziś instytutem wschodnim biskup d'Herbigny, w Czechach zaczęły wychodzić wspaniale redagowane „*Byzantino Slavica*“, w Rumunji — jak na każdem polu — przoduje w bizantynistyce prof. Jorga. W Polsce, prócz prof. Sajdaka, pracuje szereg filologów na tem polu—ale przeważnie przygodnie. Senjorem jest tu krakowski prof. L. Sternbach, obok niego dali się poznać Sinko i Przychocki. Ostatniemi czasy poczęto zwracać uwagę i na sztukę bizantyńską na ziemiach polskich.

(J. B.)

*

Wśród młodej poetyckiej generacji na ziemi wielkopolskiej Marjan Turwid należy do talentów najszczerszych i najsympatyczniejszych. Zanim wystąpił z tomikiem poezyj, dał się poznać jako artysta malarz; rzetelne studja w tym kierunku dały mu głębszą kulturę i wysubtelniły to, co poecie każdemu jest nieodzownie potrzebne: umiejętność patrzenia na świat i postrzegania. Dłuższy pobyt w Krakowie (w Akad. Sztuk Pięknych) odbił się nieco na stylu utworów poetyckich — że wspomnę choćby użycie krakowskiego wyrazu „czepigi“, oznaczającego rączki pługa. Przyjaciołom swoim krakowskim poświęcił Turwid piękny wiersz „Dwie drogi“ na motyw starej pieśni: „Ty pójdziesz górą, a ja doliną“; górom i wzgórzom krakowskiego południa przeciwstawiono tu siwe opary, piaski i łęgi „Wielkich dolin“, jak nazywa się ta część Wielkopolski—najbardziej w swoim pejzażu

może monotonna, ale zdolna człowieka do siebie serdecznie przywiązać — ta część Wielkopolski, gdzie „twierdzą nam był każdy próg". Ma Turwid prawo być dumnym z tego, że jego miasto rodzinne nosi nazwę nietylko poetycką, ale i na świat cały sławną: Września... Miasto, które w herbie winno nosić order komandorski Polski Odrodzonej... miasto bohaterskie! Zbiorek (wyd. „Wici Wielkopolskich") ma tytuł „Dni Wielkiej Doliny". Jest w tym tytule aluzja do owych pamiętnych dni, gdy pruski belfer katował dzieci polskie za odmawianie polskiego pacierza. Ale na rozpamiętywaniach nie kończy się afekt regjonalny poety. „Tak było wczoraj — dziś trzeba zakasać rękawy":

„iść do warsztatów, chałup, sklepów,
imać się książek, młotów, cepów...
A tylko na czarne godziny,
których niech szczędzi nam los,
zachować karabiny
i ostrza na sztorc osadzonych kos".

Bo reszta dni wrzesińskich — to hezjodowe „Prace i dnie", dnie trudu szarego a znojnego, nie uganiającego się za czczym efektem. Nie ugania się za efektami i sam poeta. Mówi poprostu, bezpretensjonalnie — i w tem dosięga wyżyn prawdziwego artyzmu, których nie osiągnie się przez pospolite ruszenie chrzęstliwych, brzękliwych, pyszałkowatych i pustych metafor, jakiemi usiłował ktoś niedawno „zobrazować" całą Wielkopolskę. Sentyment szczery, pozbawiony choćby cienia pozy, podszepnął Turwidowi te strofy o zapomnianym kościółku, o domu ojczystym. Wiersz „Poranek w miasteczku"— przemiły obrazek rodzajowy — świadczy, że poeta nawet najbardziej prozaiczne fakty umie wyrazić żywo, barwnie, oryginalnie; pyszne jest porównanie dymu kominowego do fajki, którą ćmi poranek. A już za serce chwyta najbardziej „Wspomnienie Gniezna" — gdzie gra powagi tematu oraz chłopięcej naiwności jest wręcz doskonała. Spodziewamy się wiele po talencie Turwida! (J. B.)

*

„Z za kulis teatru", nowa książka pani Lucyny Kotarbińskiej (F. Hoesick, str. 285 z wielu portretami), przynosi anegdoty z życia teatralnego, urywki z listów i sprawozdań teatralnych, z kilkudziesięciu lat współpracy scenicznej. Żona wielkiego artysty, dyrektora i reżysera Teatru Rozmaitości, Teatru Miejskiego w Krakowie i Teatru Narodowego, miała codzienną styczność z warsztatem pracy w realizowaniu na scenie utworów teatralnych. Repertuar tych bezpowrotnie minionych czasów, poza bieżącą przygodną produkcją polską i obcą, dążył do ukazywania dzieł wieczystej wartości, hołdował ideałom czystego piękna i rozwojowi kultury narodowej. Tak było w Warszawie i w Krakowie, a i w miastach prowincjonalnych, w których Józef Kotarbiński występował w rolach klasycznej literatury dramatycznej. Miłość dla sztuki wzniosłej, żar jego natchnienia, gruntowne znawstwo literatury i ujmująca pogoda umysłu jednały mu przyjaźń poetów: Asnyka, Wyspiańskiego, Przybyszewskiego i Tetmajera, i tworzyły wśród pracowników teatru atmosferę zaufania.

Pani Lucyna pomagała mężowi w pracy i posiadała, jak on, rzadką w stosunkach i nastrojach teatralnych umiejętność rozumienia duszy artysty, życzliwość i pobłażliwość. Z pod pióra, podobnie jak w jej świetnej książce „Wokoło teatru", wyrastają sylwetki aktorów i aktorek. Plastyczna pamięć autorki uwydatnia znaczenie ich talentów. Galerja ta, bądź dosadnymi sportretowanych rysami, zmarłych aktorów, Żółkowskiego, Leszczyńskiego, Modrzejewskiej i Zapolskiej, bądź aktorów młodszego pokolenia, utrwala cechy charakterystyczne ich talentów, często od pierwszych kroków na scenie, jak np. pani Siemaszkowej, Dulębowej i Przybyłko, ku dalszej, chlubnej przyszłości. Książka ciekawa dla czytelnika. Dla historyka teatru w Polsce nieodzowna. (A. W.)

FILM

APOLLO „Dzieje grzechu", reż. H. Szaro, wytwórnia Sfinks.

Przypominam sobie znaną anegdotkę. Młody literat przyszedł do pewnego znakomitego pisarza z prośbą: „Mistrzu, chciałbym napisać dobrą powieść, niech mi pan da temat". „Temat?" — odpowiedział mistrz — „bardzo proszę, dam panu temat: Jaś i Zosia kochają się. Niech pan tylko to ładnie opisze"...

Wielki pisarz miał słuszność, ale niezupełną. Ostatecznie nietylko „ładne" opisanie odróżnia dwa utwory o tym samym temacie. Pisarz może w pewnym kompleksie zdarzeń zobaczyć jakieś zagadnienie: etyczne, lub inne i rozmaicie też może je postawić. I to właściwie wtenczas staje się tematem jego utworu, nie samo nagromadzenie faktów i opisanie ich w kolejnej ciągłości. Tem mogą się rożnić dwa utwory dwu pisarzy, gdyż obaj rozporządzają tym samem arsenałem środków pisarskich i pracują we wspólnej dziedzinie sztuki.

Nieco inaczej sprawa się przedstawia, gdy dzieło jednej gałęzi sztuki chcemy przeszczepić na inną, w danym wypadku powieść na film. Niemal zawsze pozostaje wtenczas dla filmowca nagi kościec utworu, który sam w sobie jeszcze jest niczem, a wysnuć z niego tych wartości, co pisarz, nie może filmowiec, gdyż rozporządza innemi środkami i możliwościami.

Wszyscy się chyba zgodzimy na jedno, że wartość „Dziejów Grzechu" Żeromskiego nie polega na gęsto rozsianych w nich momentach natury sensacyjno-kryminalnej. A tymczasem te właśnie momenty, traktowane ze strony najbardziej zewnętrznej, stają się materjałem dla flmowca, bo najłatwiej i najdosadniej mogą być uwidocznione. Zwłaszcza dla „krajowego" filmowca, od którego nie wymagajmy jeszcze subtelności — dobrze już, jeśli się nauczył pewnych chwytów formalnych.

Cóż więc pozostaje? Pozostaje jako treść filmu: utopienie dziecka, Pochroń, gwałty, sceny miłosne, bicie po twarzy, Ewa prostytutka. I na to jeszcze filmowiec może spojrzeć okiem artysty i ciekawem ujęciem formalnem podnieść swój utwór do wyższej rangi, bo strony formalna w filmie jest ważniejsza, niż gdziekolwiek indziej. Niestety, p. Szaro tego nie uczynił. Film jest zrobiony tępo, a mógłby być przynajmniej sensacyjny, gdyby nie był nudny. Razi niedbalstwo pracy operatora, wszystkie scenki (przeważnie dwie osoby rozmawiające) nakręcano z tego samego poziomu i z tej samej odległości: operator nos w nos, kilka metrów, lub jeszcze bliżej, przed aktorem. Ciągle na ekranie te same duże głowy (zbliżenie), lub półpostacie. Chciałoby się trochę perspektywy, trochę przestrzeni, nieco zmiennej ruchomości obrazu. A tu aparat jak w ziemię wrósł! Rozumiem, że u nas nie stać na urządzenia techniczne takie, jak w pracowniach filmowych zagranicznych, ale w każdym razie, przy naszych możliwościach, można już zrobić daleko więcej, niż to, co pokazali autorzy „Dziejów Grzechu" na ekranie.

Tempo niesłychanie powolne. Jest w tem natrętnem zmuszeniu nas do długiego oglądania scenek i fragmentów bynajmniej nieciekawych, chęć wmówienia widzowi, że demonstruje mu się każdy szczegół dlatego, bo ma on niesłychaną wagę artystyczną. A tymczasem te szczegóły i dłużyzny nie mają żadnej treści, usprawiedliwiającej ich rozwlekły pobyt na ekranie.

Aktorzy mówią wolno i nieraz ze zbyteczną emfazą. Sceny miłosne są źle wyreżyserowane i dlatego nie budzą w widowni oddźwięku emocjonalnego raczej humor. Dobrze pomyślana jest tylko scena porodu: ręka kurczowo zaciśnięta, jęk położnicy, której nie widać, a potem obraz kry na rzece, rozdzieranej przez przęsło mostu, symbol bólu, który rozdziera wnętrzności matki.

Dobiesław Damięcki, debjutant filmowy, partner Ewy-Lubieńskiej (Łukasz) grał nieprzekonywająco.

ATLANTIC: „Pieśń nad pieśniami", wedł. Sudermanna, reż. Mamoulian.

Mamoulian zapisał się w naszej pamięci pierwszorzędnym filmem: Wielkomiejskie ulice" i dobrą operetką: „Kochaj mnie dziś", ten, jest poprawny do połowy, a od połowy przechodzi w banalny melodramat.

Po scenie dramatycznej przy stole żona wybiega, kochanek za nią, a „ona z niego śmieje się" i idzie do drugiego, żeby pierwszego szlag trafił z zazdrości. Ale wszystko to jest udane.

Do ogrodu wyłazi mąż. Tu czarny charakter (dawna kochanka męża) wtrąca swoje trzy grosze. Żonie pocichu radzi zmykać, ta ucieka do miasta, tam, opuszczona, stacza się coraz niżej. Kończy się powrotem do pracowni pierwszego kochanka, rzeźbiarza i strzaskaniem posągu, bo ta, którą posąg przedstawia, już umarła, dziewczę niewinne. I chociaż model słusznie tłumaczy mu, że niema sensu pozostanie, pozostaje jednak, bo tak chce reżyser i wymogi *happy-end*'u.

Bardzo być może, tak jest w scenarjuszu. Bardzo być może, że tak jest nawet w powieści. Ale pisarz ma wiele środków po temu, aby z takiej bujdy zrobić rzecz interesującą, a reżyser, posługując się innemi środkami, powinien jednak odbanalizować jakiemś pomysłowem ujęciem słabe miejsca scenarjusza. Tego jednak Mamoulian nie uczynił.

Co do Marleny Dietrich, chciałbym zrobić jedną uwagę. Pojawia się teraz coraz częściej rodzaj aktorki o bardzo zwężonym zasięgu możliwości odtwórczych, która wzamian daje wyraźnie określony w typie styl gry i stara się stworzyć syl-

wetę postaci o jeszcze bardziej zdecydowanym, własnym stylu. I takie mają największe powodzenie.

Może w ten mizerny sposób wyraża się podświadoma tęsknota tłumów za stylem współczesności?

KANDYD

W ROZMÓWNICY

Żydzi pokłócili się między sobą... o Mickiewicza, przyczem ciągle słychać przekleństwa na „Myśl Narodową“, że ona zwekslowała sprawę otrucia poety na relsy żydowskie. Może ten wypadek oduczy ich od wtrącania się do historji polskiej w celu jej fałszowania.

Jak donosiliśmy w poprzednim zeszycie, jeden z żydowskich „historyków“, Brandstaetter, otworzywszy grób Mickiewicza, wiele wymowy poświęcił na przekonywanie świata, że poeta nasz umarł na cholerę, co właśnie było najbardziej wątpliwym punktem w sprawie jego śmierci. Żeby przy tezie tej się utrzymać, musiał poświęcić przyjaźń z „Wiadomościami Literackiemi“ i z Boyem-Żeleńskim (który przy fakcie otrucia się upierał) i jednocześnie wypowiedzieć się przeciwko tezie Boya, jakoby morderstwa dopuścił się „endek“, hr. Wł. Zamoyski.

Brandstaetter, lepiej wtajemniczony w dzieje stosunków polsko-żydowskich, połapał się odrazu, że nie można dopuścić do dyskusji na temat otrucia. Cholera i Polska! Ale ciemni żydzi, nauczeni przez demokrację, że w duszę można pluć bezkarnie, zwłaszcza w jej dzieje, bardzo się na Brand. rozgniewali. „Nowy Dziennik“, wychodzący w Krakowie, w ostatniem wystąpieniu polemicznem (nr. 257) tak winę Brandstaettera określa:

— „Faktem jest, że p. Br. postawił sobie za cel pognębić i pogrążyć Boya za wszelką cenę... Faktem jest, że po ukazaniu się rewelacyjnego artykułu Boya: „Czy Mickiewicz został otruty“, p. Br., uważając się widocznie za speca od „ostatnich chwil“ Mickiewicza, uwziął się koniecznie, by dowieść, że Boy nie ma racji. Nie obeszło się przytem i bez przykrych ukłóć, i drobnych złośliwości wobec pierwszego dziś pisarza w Polsce“.

Żydzi zarzucają więc swemu pisarzowi dwa błędy: 1) że sprzeciwił się szerzeniu kłamstwa o winie Zamoyskiego i ówczesnej „endecji“, które żydom mogło być tylko na rękę, 2) że ubliżył Boyowi, któremu przecież żydzi przeznaczyli stanowisko pierwszego pisarza w Polsce.

Do tych ciężkich przewinień Br. dodał teraz nowe, mianowicie: gdy żydzi podnieśli krzyk z powodu podejrzeń, jakie z całej tej sprawy wynikły co do udziału żydów w otruciu, to Brand. w „Opinji“ (jak o tem poprzednio informowaliśmy) krzyknął:

— Żydy, sza! Czemu robicie z tego sprawę żydowską, czemu solidaryzujecie zię z Boyem?! Po co się pchacie w tę sprawę? Mickiewicz umarł na cholerę i szlus!

Żydy straciły głowę. Co jest? Brand. solidaryzuje się z endekami! — i krzyczą coraz głośniej. Pisarzowi żydowskiemu grozi „chejrem“.

— Brand. — pisze „Nowy Dziennik“ — „znalazł się na jednej linji frontu z najobskurniejszymi „pogromcami“ Boya z pod „Myśli Narodowej“. On to ośmiela się dawać nam lekcję godności żydowskiej. Tu już trzeba zawołać: Stop! Na to sobie nie pozwolimy!“ Jeśli sprawa zgonu Mickiewicza nas żydów nie ma obchodzić, to „czemu p. Brand. najniepotrzebniej w świecie wmieszał się w całą aferę i pchał palce między drzwi wtedy, gdy sprawa nie wykazywała jeszcze istotnie momentu żydowskiego t. j. bezpośrednio po ukazaniu się pierwszego artykułu Boya?“.

Co to żydom mogło szkodzić, że Zamoyski otruł? Nasze stanowisko—kończy „Nowy Dziennik“ jest takie:

— „Dopóki kwestja otrucia Mickiewicza była wyłącznie bombą, sensacją literacką w wielkim stylu, uważaliśmy za stosowne informować o niej czytelników. Z chwilą jednak, gdy w grę weszły momenty żydowskie, gdy groziło, że bajka, puszczona przez naszych zaciekłych wrogów, pójdzie dalej w świat i, kto wie, czy nie stworzy nowej legendy ukrzyżowania... uważamy, że chodzi tu o nasz honor żydowski“...

Żydzi się pokłócili, bo istotnie źle wyszli na literaturze Brandstaettera. Ale w drażliwem też położeniu znalazł się Boy. Powinien teraz wywiązać się z zadania, które ku uciesze żydów wziął na siebie i dowieść historycznie, logicznie a, dowcipnie: 1) że Polacy w XIX wieku kamienowali lub truli tych, którzy organizowali walkę zbrojną w celu wyjarzmienia Polski, 2) natomiast żydzi rwali się do tej walki i bardzo im zależało na tem, aby Rosja widziała ich sztandar z gwiazdą pięcioramienną obok tureckiego półksiężyca. Gotowi byli poświęcić dla sprawy krew swoją, a Rotszyld swoje miljony.

Kwestja otwarta.

OFENSYWA

NACHALNIKI

JEDEN ze stołecznych organów sanacyjnych, pozazdrościwszy widocznie złota, laurów i prestiżu kryminalistycznemu koncernowi krakowskiemu, obwieszcza rodakom co następuje:

PAMIĘTNIK PRZESTĘPCY

II cykl opowiadań Urke Nachalnika

„Kurjer Czerwony zapowiada już od jutrzejszego numeru niebylejaką sensację literacką: Druk drugiego tomu pamiętników Urke Nachalnika. Głośne to już dzisiaj nazwisko w świecie literacko-naukowym nietylko Polski ale zagranicy. Pierwszy tom „Pamiętnika przestępcy“, drukowany ostatnio również w Kurjerze Czerwonym, zdobył niebywały rozgłos — tłumaczony jest obecnie na kilka języków świata, a nawet filmowany w Ameryce. Książka rozeszła się w tysiącach egzemplarzy i była bodaj najgłośniejszą sensacją literatury ostatnich lat. Drugi tom oczekiwany jest z niezwykłem zainteresowaniem. Urke Nachalnik, przestępca, mający za sobą 15 lat odsiedzianego więzienia, ostatnio za zbrojny rabunek, opisuje dzieje swoje z mistrzowską prostotą, z wysoce artystycznym realizmem. Tym razem będą to porywające w akcji dzieje pobytu w więzieniu Mokotowskiem. Drugi tom czyta się jednym tchem.

Ukazuje się on po raz pierwszy w Kurjerze Czerwonym i nie tak prędko ukaże się w książkowem wydaniu“.

Ponieważ tedy „nie tak prędko ukaże się w książkowem wydaniu“, ponieważ „przestępca ma za sobą 15 lat odsiedzianego więzienia“, ponieważ „ostatnio przesiedział za zbrojny rabunek“, ponieważ „opisuje dzieje swoje z mistrzowską prostotą“, ponieważ „pierwsza część zdobyła niebywały rozgłos“, ponieważ „tłumaczony jest obecnie na kilka języków a nawet filmowany w Ameryce“, ponieważ drugi tom „czyta się jednym tchem“... i ponieważ „pierwszy tom był najgłośniejszą sensacją literacką ostatnich lat“, przeto... jest nadzieja, że sanacyjny „Kurjer Czerwony“ będzie w stolicy w tym sezonie najpoczytniejszym dziennikiem.

Czy teraz nie wypadałoby, aby drugi organ sanacyjny do specjalnych poruczeń i ostatniej posługi, to jest „Kurjer Poranny“ zwrócił się w te pędy do niejakiego Jankiela Flinta i co żywo zamówił u niego konkurencyjny pamiętnik? Jankiel Flint zwany jest „królem złodziei warszawskich“. Leży obecnie w szpitalu. Ostatnio interwenjował w sprawie okradzenia na kolei goszczącego w Polsce dyrektora departamentu prasowego w czechosłowackiem M.S.Z., pana Hajeka. Jankiel Flint miałby też dużo do opowiadania ze swojej przeszłości i jego pamiętnik byłby może jeszcze większą sensacją literacką ostatnich lat... W każdym zaś razie byłby autentyczniejszy...

Z tym Borowiczem bowiem nie jest wszystko w porządeczku. Urke Nahalnik nazywa się Borowicz. Nazwisko zmienił, bo taka jest moda wśród jego bliższych i dalszych, z tą tylko różnicą, że inni krewniacy zmieniają gorsze na lepsze, a on piękne, słowiańskie: Borowicz zmienił na *nom de guerre*: Nachalnik. Na Zachodzie też zmieniają, ale nie tak masowo: Herzog zmienił na Maurois (żeby trudniej było zgadnąć), Frauenstein na Lecache, Rotschild na... Pascal, Poznański na Savoir i t. p. W Italji Pinkerle na „Moravia“. W Niemczech zmieniali już masowo: Goldman na „prof. Reinhard“, Kempner na Kerr, Engländer na Altenberg, Witkowsky na Harden, Schlesinger na „prof. Walter“, Salzman na Salten, Mayer na Mayrinck i t. p. i t. d. Rrwnież masowo w Sowietach.

U nas również: Belmont na Jellenta, Wiślicki na Wittlin, Pomper na Podbipiętak, Winawer na Sniadewski, Wasowski na Wasserman, Słonimer na Wołodyjewski, Lukrec na Dawidowicz, Litauer na Litawor, Brodzki na Brodzicz, Wrzos na Niezabudka, wreszcie Krzywicka na Tylicka i t. p. i t. d.

Wobec tego i Borowicz zdecydował się na Urke Nachalnik, w czem Urke znaczy: złodziej, a Nachalnik oznacza rasę i wyznanie.

Tymczasem atoli niejaki Kof, Sz. Kof w wileńskim dzienniku „*Wilnaer Tog*“, w trzech artykułach sierpniowych z rzędu udowadnia, że Nachalnik nie jest Urke, w każdym razie nie Urke na wielką skalę, nie Urke w stylu Jankiela Flinta („króla złodziei warszawskich“), ale sobie przeciętny urke jakich wielu, a tylko „profesorowie“ zrobili z niego znakomitość polskiego piśmiennictwa nowoczesnego. Sz. Kof z „*Wilnaer Tog*'u“ nie miałby nic naprzeciwko Nachalnikowi,

gdyby Borowicz miał choć coś z wielkości takiego *par exemple* angielskiego... Lucasa. Netley Evelyn Lucas był długie lata włamywaczem i specjalistą od biżuterji. Poczem zmienił fach i zaczął pisać... powieści ze swego życia, kryminalistyczne i wydrukował ich sześć. Poczem znów zmienił fach i idąc za wzorem Zweiga i Emila „Ludwiga" zaczął pisać monografje historyczne. Napisał ich kilka: Królowej angielskiej Aleksandry, księżniczki Mary, księcia Walji i króla belgijskiego Alberta, oczywiście już pod zmienionem nazwiskiem jako Evelyn Graham. Niedawno wszystko się wydało i Netley Evelyn Lucas poszedł do wiezienia. Ale to był Urke prawdziwy i to był Nachalnik na dwie półkule!

Nasz Borowicz to pono mistyfikator i bluffista, twierdzi z uporem Sz. Kof z „*Wilnaer Tog*'u". W tem wszystkiem, co opowiada, ma być podobno 20% prawdy a 80% „*Dichtung*" z imaginacji, z fantazji, z powietrza połapane (*aus der Luft gegriffen*). Bardzo mało kradł wogóle ten autor, który dał inteligencji polskiej „najgłośniejszą sensację literacką ostatnich lat". Co w tem jest do tłumaczenia i do filmowania? — oburza się Sz. Kof z „*Wilnaer Tog*'u", który przedtem odbył kilkanaście wywiadów z rzetelnymi złodziejami i włamywaczami; ci z nich, którzy przeczytali „Życiorys własny" Nachalnika, wyrażali się o tem całkiem lekceważąco i negatywnie. Z osnowy i z tekstu znać, że Borowicz jest poprostu amatorem, dyletantem, że o procederze ma bardzo słabe pojęcie, że przekręca, nadrabia, rozdyma i „nabija w butelkę". Może on jest zdolny literata, ale złodziej (urke) to on jest całkiem trzeciej sorty. Ani się nie umył do innych Urków. Nie wart im rzemyka u trzewika zawiązać lub ukraść. Borowicz to fuszer i partacz, tylko umie prędko pisać taki bajc podchwytany od innych, a potem to dobrze sprzedać i wydrukować. Elita złodziejska kpi i zaśmiewa się z profesorów, którzy się dali nabrać takiemu przeciętnemu Nachalnikowi. Według Sz. Kofa z „*Wilnaer Tog*'u" Urke Nachalnik nawet gwary złodziejskiej jeszcze nie wyuczył się na celująco; błąd na błędzie, byk po byku robi ta znakomitość dzisiejszego świata... „literackiego". Dobre są tylko te kawałki, co się tyczą *sex appeal* i kobitonów, które były pisane specjalnie dla Ligi reformatorów obyczajowych, dla zyskania sobie pani Wandy Melcer i na lep dla pani Krzywickiej. W tem się Urke popisał, ale znów nie wielka sztuka, gdyż to należy do specjalności Nachalników wogóle. W sensie tedy „pitigrilli" to Urke Borowicz może wytrzymać jeszcze konkurencję z kochankami Lady Chatterley i z Boyem, kiedy ten był jeszcze gojem, a nawet *madame sans gêne* mogłaby mieć z niego ongiś artystyczną pociechę. Natomiast w sensie: włamywacz czy szopenfeldziarz, to autor własnego życiorysu jest poprostu kapcan i wcale się nie liczy. Nikt mu tam nie zazdrości laurów literackich i tego, że w Wilnie urządzono dlań uroczystą „Srodę Literacką". Jeżeli też teraz adwokat Emil Breiter Nachalnika namówił i podjudził do wytoczenia „profesorom" procesu o obiecane a nie dane zyski z książki, wydanej przez „Patronat nad więźniami", to niech tam sobie oba Nachalniki proces wygrają i łupem się podzielą. I owszem. Netley Evelyn Lucas na swoich dziełach zarobił do 100 tysięcy funtów angielskich (nie warszawskich) szterlingów. Niechże się oba żydki obłowią.

Jedno atoli w tem wszystkiem jest bardzo nieładne i bardzo nie *à propos*... I to jedno prawdopodobnie wywołało surowe artykuły Sz. Kofa w „*Wilnaer Tog*'u"... Czy autentyczne te opowieści Hoffmana Urkego, to tam wszystko jedno.. Czy to dokument naukowy dla kryminologów, dla socjalpatologów, o to nie będziemy się prawować i pieniaczyć z Nachalnikiem Urke czy z jego obrońcą. Nieładne jest to ze strony Borowicza, że on... że on... że on czasami... niekiedy z nieodpowiednim respektem wyraża się o rasie nachalników wogóle czyli że on się czasem poprostu „zaczepia". Nie tylko zdradza pewne tajemnice paserskie i złodziejskie, ale nawet *yiddisch* nazywa żargonem, tak jak jest osobny żargon koniokradów lub szmuglerów. To jest nieładnie.

Kiedy ostro o żydach pisywał sam Marx, to można było ukrywać długo i przemilczeć. Pisywał ciężko sam Weininger, no to on już i tak nie żyje i niema o czem mówić. Miał lekką odrazę do żydów sam Lassalle, no to Bóg z nim ciężko za to odpokutował. Nienawidził żydów syn - jedynak samego Herzla, no to on też przeszedł na katolicyzm i źle skończył... Nie tak dawno dwie książki surowe o moralności żydów dał jeden z największych filozofów niemieckich, kontynuator Spinozy, ten sam żydowski myśliciel, który jeszcze w r. 1918 brał w obronę żydów t. j. Constantin Brummer (Leopold Wertheim), ale jemu wolno było, bo to był wielki etyk i moralista, który dopiero w późnym wieku nabrał integralnego obrzydzenia do swej rasy. Co atoli wolno i wypada wielkim izraelskim antysemitom, co wolno Ezechielowi, Jeremjaszowi, Marxowi, Brumerowi, do tego zasię i wara takim sobie całkiem przeciętnym Urkom, przeciętnym Nachalnikom. Niech się czepia goyów, ale nachalników zostawi w spokoju...

Gdy interesów swego Urkego będzie w Trybunale bronił adwokat nachalnik, kiedy przeciwna strona wytoczy zarzut, że Urke to żydożerca, Hitlernik, Filistyn i t. d., a jako taki nie wart dostać gotówką (bares) za swój „Żywot Człowieka, nie bardzo uczciwego", to wtedy na obronę Borowicza będzie można przytoczyć jeden termin:

„dysharmonja intrapsychiczna".

Kto czytał najznakomitszego polskiego psychiatry prof. Ursteina „Przestępczość a psychoza", ten już będzie wiedział w czem rzecz, „*wo liegt der Hund begraben*". Urke Nachalnik to on jest katatonik jak każdy Nachalnik. On jest nieodpowiedzialny za swoje mankamęta. On jest tylko chory psychicznie. Tak normalnie to on jest normalny.. aż do chwili popełnienia przestępstwa, które „wyładowuje po raz pierwszy nagromadzony ładunek chorobowego materjału psychicznego"... „Rozszczepienie wewnętrzne osobowości"... „dysharmonja intrapsychiczna".

Wtedy taki katatonik albo kradnie, albo się włamuje... albo pisze, pisze bez respektu o swoich Nachalnikach... Ale odpowiedzialny za to to on nie jest... bo to tylko „dysharmonja intrapsychiczna", nagminna zresztą w rodzinie Nachalników...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Z wywiadów.

— Nad czem pan prezes teraz pracuje?

— Ano, robi się tę Elitę. Nie uwierzy pan, jaka to ciężka robota. Bo to przedewszystkiem musi być czysta robota... Widzę pańskie zdziwienie — co to jest czysta? Od słowa czyścić — rozumie pan. Stąd słowiańskie pojęcie „czystki". Elitą jest to, co zostaje na wierzchu po gruntownem wysanowaniu środowiska z żywiołów, które tej metodzie są przeciwne. Ta definicja Elity będzie trwałą zdobyczą socjologji. „Czysta" oznacza także robotę, nie pozostawiającą śladów, to znaczy musi ona tak wyglądać, że Elita tworzy się spontanicznie z powodu braku konkurencji.

— Ale co robić z tymi, którym „skrupuły nie pozwalają"...

— Właśnie, to jest nowa trudność. Ale tu przychodzi z pomocą prawo socjologiczne selekcji, które możnaby nazwać prawem samosanowania się Elity. W ten sposób pozostaje Elita czysta, pozbawiona skrupułów.

*

Jakże niesłuszny jest pogląd, że w społeczeństwie naszem powszechne jest zamiłowanie do zasług głośnych, nagradzanych sławą, a tak niewiele znaleźć można „czynów cichych, użytecznych". Oto np. taki komisarz Drewiński, albo post. Stankiewicz, ludzie cichej zasługi, pragnący zwalczyć „agitację antypaństwową", nie żądając za to poklasku tłumu, nie chcąc rozgłosu.

Nie w próżnej chwale szukali nagrody za swoje czyny...

*

Jakże krzywdząca jest również opinja, że warszawska „prasa czerwona" jest przedsiębiorstwem całkowicie bezideowem, że orjentuje się tylko rachubą na zyski! Kierownicy tych pism, w imię idei, gotowi są na największe nawet ofiary. Oto np. ostatni proces o zamordowanie ś. p. Chudzika — niezaprzeczenie sensacja pierwszorzędna, interesująca najszersze koła społeczeństwa, zapewniająca niemały dochód, zwiększenie nakładu... A przecież bez wahania wyrzeczono się omawiania tej sprawy, głos obowiązku silniejszy okazał się, niż korzyści pieniężne...

*

Dziennik sanacyjny „Express Poranny" bagatelizując znaczenie procesu, który się toczył w Brzozowie, pisze:

„Wartość moralna osoby zabójcy, Jajki, m u s i stać pod znakiem z a p y t a n i a"...

Jakże subtelne jest poczucie etyczne elity sanacyjnej: znak zapytania! A dalej:

„Bo kimże może być typ, który d l a m a r n e j p o s a d y, jak sam twierdzi, decyduje się na zbrodnię?"

Rzeczywiście: dla marnej posady ulegać rozkazowi i zabijać człowieka! Gdybyż to była posada rentowna, to co innego.

Publicysta sanacyjny zabija Jajkę szyderstwem.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.